10 gr. **ABC** 10 gr.

NOWINY CODZIENNE

BOŻEGO NARODZENIA
TA MOC JEST DLA NAS ŚWIĘTA.
NIECH IDĄ W ZAPOMNIENIA
NIEWOLI GNUŚNE PĘTA.
DAJ NAM POCZUCIE SIŁY
I POLSKĘ DAJ NAM ŻYWĄ,
BY SŁOWA SIĘ SPEŁNIŁY
NAD ZIEMIĄ TĄ SZCZĘŚLIWĄ.
JEST TYLE SIŁ W NARODZIE,
JEST TYLE MNOGO LUDZI;
NIECHŻE W NIE DUCH TWÓJ WSTĄPI
I ŚPIĄCE NIECH POBUDZI.

Stanisław Wyspiański z „Wyzwolenia"

Nr. 406 Warszawa, piątek 24 grudnia 1937 r. **Rok XII**



Zygmunt Rusinek

Statystyka fałszuje rzeczywistość

Miasto nie zna wsi, jej trosk, jej warunków pracy. Ten stan rzeczy panuje od samego początku naszego renesansu państwowego, stał się zwyczajem i nie jest zdolen zbudzić protestu. Jednakowoż w ostatnim czasie zachodzą okoliczności, które do tego stopnia sprzyjają dalszemu pogłębianiu niezrozumienia sytuacji polskiej wsi przez mieszkańców miast, również tej, która jest polska, iż konieczne są wyjaśnienia.

Żyjemy w okresie, w którym tak, jak może nigdy, statystyka rolnicza przyczynia się do tworzenia błędnego obrazu, jakby potwierdzając znane, a złośliwe twierdzenie, iż jest najwyższym stopniem kłamstwa. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu zbliska.

Zgodnie z nauką ekonomii poziom cen na dane artykuły powinien być uważany za objaw koniunktury odpowiedniej gałęzi produkcji. To też dość powszechnie przyjmuje się przeświadczenie o znakomitej poprawie rentowności gospodarstw wiejskich. Bo oto pszenica (porównanie cen z października 1936 i 1937 r.) z 23.45 zł. za 100 kg. skoczyła na 28.22 zł., żyto — z 16.83 zł. na 22.07, jęczmień przemiałowy z 17.04 zł. na 20.16 zł. i wreszcie owies z 14.83 zł. na 19.76 zł. Zaznaczyć przytym należy, że nie są to bynajmniej ceny giełdowe, ale ceny przeciętne, otrzymywane przez rolników. Nic też dziwnego, że niemal wszyscy, przyglądający się takiemu zestawieniu cen, odnoszą wrażenie, iż sytuacja wsi uległa znakomitej poprawie.

Do tego wrażenia należy jednak wprowadzić pewną korektę, która niestety osłabi optymistyczne wrażenie.

Według badań Głównego Urzędu Statystycznego klęska nieurodzaju objęła 168 powiatów, a niemal wszędzie plony były niższe, niż w roku ubiegłym. I tak ogólny zbiór pszenicy w 1937 r. był o 13.6 proc. mniejszy, aniżeli w roku poprzednim, żyta — o 8.4 proc., jęczmienia—o 6.3 proc., owsa — o 8.8 proc., słomy zbóż ozimych — o 42.3 proc., słomy zbóż jarych — o 10.5 proc., siana koniczyny (I pokos)—o 10.2 proc., siana łąkowego (I pokos) — o 7.4 proc.

Cyfry te jednak nie mówią zbyt wiele, gdyż nie uzewnętrzniają faktu, że ogromna większość zbiorów musi być przeznaczona na przeżywienie ludzi i zwierząt na wsi, a tylko stosunkowo mała część idzie na sprzedaż, stanowiąc przychód gotówkowy, z którego pokrywa się niezbędne wydatki publiczne i rodzinne. W tym zakresie sprawa przedstawia się następująco: Przeciętnie biorąc, plony czterech głównych zbóż wynoszą w Polsce około 125 milionów kwintali, z czego 20 do 22 milionów q idzie na spożycie miast, a maksimum do 8 milionów na eksport.

W przypadku nieurodzaju wieś, która odżywia się słabo i bardzo źle karmi zwierzęta, nie ma innego wyjścia, jak zmniejszyć podaż, zmniejszając ilości przeznaczone na sprzedaż i wyrzekając się tym samym dochodu. Szczególnie groźna jest taka sytuacja z tego powodu, że w Polsce istnieje ponad 65 proc. gospodarstw, które mogą rzucać na rynek przeciętnie nie więcej, aniżeli 8 do 10 kwintali zboża w ciągu roku. Jeżeli w tym roku mają te gospodarstwa do dyspozycji tylko około 3 q. na sprzedaż, to pomimo zwyżki cen ich sytuacja uległa ogromnemu pogorszeniu. Dla przykładu przyjmujmy, że w 1936 roku gospodarz mógł sprzedać 10 q. żyta, za które otrzymał około 134 zł., w roku bieżącym sprzedając 3 q. mógł w najlepszym razie otrzymać około 68 zł. To też ogół rolnictwa otrzyma z produkcji roślinnej gotówki znacznie mniej obecnie, aniżeli przed rokiem.

Złe położenie potęguje brak pasz. Spowodowało to wyprzedaż chudego inwentarza po bardzo niskich cenach, co jest równoznaczne z uszczuplaniem majątku oraz z przekreśleniem na dłuższy okres czasu dochodowości gospodarstwa. Najwięksi optymiści twierdzą, że trzeba sprzedać conajmniej jedną krowę, aby móc utrzymać przez zimę drugą. W ten sposób traci się jedyne źródło płynnej gotówki za mleko.

Wreszcie trzecia okoliczność wpłynęła decydująco na pogłębienie nędzy wiejskiej w bieżącym roku. Trzoda chlewna jest dla chłopa rodzajem skarbonki, w której lokuje pieniądze i raz do roku upłynnia zgromadzone zasoby. Naturalnie skarbonka ta odrzuca wcale nieźle procenty. Tymczasem obecnie stosunek cen paszy do żywca jest tego rodzaju, że hodowla trzody prestała być przedsiębiorstwem dochodowym, a stała się pewnego rodzaju sportem, zajmującym czas. Przeciętnie biorąc, wydatki na wyprodukowanie 1000 kg. żywca wzrosły w ciągu roku o mniej więcej 24 zł., a ceny tylko cokolwiek poszły w górę. W ten sposób został uderzony trzeci dział dochodowy wsi.

Na podstawie powyższych uwag musimy dojść do wniosku, że nieurodzaj, powodujący zwyżkę cen artykułów rolnych, nie jest napewno czynnikiem pozytywnym w kształtowaniu rentowności rolnictwa. Szkodzi on niezamożnym sferom miejskim, a uderza całą siłą w rolników. Konieczna jest więc korekta w obrazie, kształtowanym przez statystykę cen, a to tymbardziej, że może on wypaczyć nie tylko pojęcia o rzeczywistej rzeczywistości, ale nawet wywołać błędy w zarządzeniach polityki rolniczej.

Piszemy o tych ważnych sprawach bynajmniej nie w celu wywołania litości nad biednym chłopem. Idzie nam o rzeczy o wiele ważniejsze, a mianowicie o rynek zbytu dla całej pozostałej poza rolnictwem produkcji krajowej. Zapytujemy, kto zastąpi spożycie chłopa w zakresie ubrań, bielizny, obuwia, sprzętów i t. d., jeżeli zamiast zeszłorocznej, minimalnej zresztą kwoty, może w tym roku przeznaczyć sumę o połowę mniejszą. Przy ograniczeniach eksportowych pracujemy wszyscy przede wszystkim na rynek wewnętrzny; o jego pojemności decyduje chłop.

To jest główna przyczyna, która sprawia, że według nas w interesie ludności miast leży dobrobyt polskiego chłopa.

Bóg się rodzi...

Jest w święcie Bożego Narodzenia specjalny urok, zdolny wyrwać człowieka z szarzyzny spraw powszednich i rozniecić szczególnie mocno tęsknoty i pragnienia najistotniejsze.

Boże Narodzenie — chwila w dziejach ludzkości, jakiej nie było równej, chwila, w której wraz z Bogiem na ziemi urodzić się miało nowe życie, nowy świat.

Ponad chaos świata pogańskiego, ponad ciemną, wypaczoną przez żydów ideę religijną, wyrosła nowa, wielka i czysta religia chrześcijańska.

W niej jedynie znaleźć mogły swoje zaspokojenie i oparcie ludzkie tęsknoty za nieskazitelnym Dobrem, za Prawdą.

Zło, sprawujące swą władzę nad czynami ludzkimi przez słabość ludzką sprowadzało świat z wytkniętej mu jasnej drogi. Przez wszystkie wieki trwała i trwa nieustanna walka w życiu ludzi i w życiu narodów między słabością własną, a pragnieniem wzniesienia się na wyżyny wielkości.

Ci, którym mroków duszy i umysłu nigdy nie zdołało rozjaśnić chrześcijaństwo, ci, którzy poprzez wieki stali od niego zdala, zakrzepli w swych żądzach i celach ziemskich, jako nieprzejednani wrogowie chrześcijaństwa, wpływami swoimi na otaczający ich świat chrześcijański truli go i zaciemniali mu wizję ich własnego życia.

Świat, jego narody dojrzałe duchowo i cywilizacyjnie, przechodziły okresy najcięższych załamań i upadków. Epoka wszechwładzy idei materialistycznych pozostawiła na psychice narodów ślad dotąd niezatarty.

Dziś jednak rośnie coraz potężniejsza fala pragnień i tęsknot powrotu do życia takiego, jakie światu wyznaczyła chwila narodzin nowej epoki, epoki chrześcijaństwa.

I ci wszyscy w Polsce, którzy pragną szczerze Naród poprowadzić do wielkości, wiedzieć muszą, że wielkość ta oprzeć się musi na niewzruszonych podstawach mocnej wiary i głębokiego z chrześcijańskiego poglądu na świat wyrastającego idealizmu.

Kolęda

— Dokąd, pastuszkowie, śpieszycie w zawody,
Opuściwszy liczne bydła swego trzody?
— Pośpieszamy do tej szopy,
Z której to już lecą snopy.
Cała prześroczysta,
Wiatr w niej, gdzie chce, śwista,
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Co czynić będziecie? Ciekowość mnie bierze,
Powiedzcie mi, proszę, powiedzcie mi szczerze.
— Upadniemy na kolana,
Powitamy w niebie Pana,
Co leży w żłobeczku,
W Betleem, miasteczku.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Na co instrumenta ze sobą bierzecie?
Czy nie lepiej było zostawić je przecie?
— Toć to może się i przyda,
Wszakże Bartosz dobrze dyda,
Kuba dmie na rogu:
Będzie chwała Bogu.
Ho! Ho! Ho! Ho!

Z Kantyczki poznańskiej z r. 1885.

Jerzy Kurcyusz

Łuna na północy

Przyzwyczailiśmy się mówić i myśleć o Pomorzu, jako o wąskim skrawku morskiego wybrzeża, biegnącego na przestrzeni stu kilkudziesięciu kilometrów od Błot karwińskich, po przez Hel do Orłowa. Nad sprawami i życiem wielkiej, pełnej zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych, dzielnicy pomorskiej przechodzi się niemal do porządku. Nadbrzeże i Gdynia zaciążyły nad Pomorzem wszechpotężnie, ogniskując na sobie większość zainteresowań opinii publicznej i prasy. I dopiero przy okazji jakiegoś sądowego procesu, dopiero w związku z jakimś przykrym skandalem, którego drogi dążą nie od wybrzeża ku Polsce, ale odwrotnie od Polski, od centrum jej władz administracyjnych ku Pomorzu, dopiero przy sposobności wyjścia na jaw jakiegoś przerastającego inne zaniedbania lub nadużycia — staje przed nami z całą jaskrawością zagadnienie polityki państwowej w stosunku do województwa pomorskiego.

Jest to sprawa drażliwa i subtelna, tym więcej, że coraz częstsze i coraz bardziej niepokojące zaczynają dochodzić pogłoski i plotki, coraz głośniejsze słyszy się szepty na temat niebezpieczeństw, na które wystawiło całe dorzecze dolnej Wisły ostatnich lat kilka.

Polityka na Pomorzu winna być z jednej strony wyjątkowo ostrożna, z drugiej zaś dla ludności pomorskiej jasna i niedwuznaczna.

Nie jest tajemnicą, że hitlerowskie Niemcy, robią u siebie na pograniczu polskim wszystko, żeby siłą samego porównania, siłą samego kontrastu z naszymi warunkami gospodarczymi Polaków nagranicznych olśnić, żeby im swą siłą i dobrobytem choćby pozornym zaimponować. Dla propagandy Trzecia Rzesza zwalnia swą nadgraniczną ludność od wszelkich podatków, dla propagandy przyznaje ogromne kredyty budowlane. Dla propagandy i nie tylko dla propagandy, ale wręcz już realizując swą imperjalistyczną politykę zagraniczną — budzenia świadomości germańsko - narodowej wśród ludzi pochodzenia niemieckiego na całym świecie — podtrzymuje niemieckiego ducha wśród kolonistów na Pomorzu, gęsto rozsianych. Ta sama ręka wreszcie, która organizuje i częściowo finansuje ukraińskie organizacje bojowe, grasujące w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu organizuje na Pomorzu nastroje, a — jak twierdzą znawcy stosunków miejscowych — na Kaszubach — coś znacznie więcej niż nastroje, wyraźnie wrogie Polsce i jej rozwojowym planom.

Czy istnieje jakaś wyraźna akcja ze strony społeczeństwa, a tym bardziej czynników rządowych, zmierzająca do zrównoważenia tych nastrojów i przeciwdziałania niebezpiecznej akcji?

Czy ludność Pomorza ma prawo ze spokojem patrzeć w przyszłość, rozumiejąc przecież dokładnie, do czego zmierzają agenci i agitatorzy niemieccy, dobrze jej znani jeszcze z przed lat dwudziestu, a napewno przez tych lat 20-cia w niczym nie odmienieni?.

Co robi się, aby umocnić zaufanie społeczeństwa pomorskiego do państwa i do jego autorytetu, które stanowią dlań jedyny oręż w walce na dobre już rozpoczętej.

Zaufania tego napewno nie pogłębia ani cała działalność p. wojewody Kirtiklisa, ani ostatni proces starosty Czarnockiego. Nie pogłębia go także niewątpliwie fakt, że w całym województwie pomorskim nie ma podobno ani jednego pomorzanina, który by w drabinie hierarchii administracji państwowej przekroczył stopień referenta w starostwie. Na tomiast szereg wybitnych stanowisk zajmują ludzie z odległych dzielnic Polski, niczym z Pomorzem nie związani, noszący zato często ruskie zgoła nazwiska rodowe.

To nie jest obrona dzielnicowości, ani lokalnych szowinizmów, czy ambicyj. To jest kwestia zdrowej polityki regionalnej.

Na Pomorzu dzieje się źle.

Trzeba na alarm bić najgłośniej i do odsieczy mobilizować wszystkie czynniki uczciwie i szczerze polskie, bo nad północnemi ziemiami Rzeczypospolitej wschodzi łuna, — bo zagrożone jest najcenniejsze dobro narodu, nieprzebrane źródło tężyzny moralnej, fundament pod budowę przyszłej, nowoczesnej Wielkiej Polski.

U -- czyli: udręczona

„ABC" — felietonu chce. Konieczniе, żeby był „świąteczny". Bynajmniej mnie to nie dziwi, bo jak Rzepichy w okresie świątecznym pieką strucle i placki, (omal, że nie napisałem: „makagigi" — tfu, do licha!)—tak ja piekę feljetony, a że nic w naturze nie ginie, czasem moje felietony idą pod placki. Delegacja redakcji składa się z trzech osób, z których każda zapewne symbolizuje jedną literę z tytułu pisma. Chesterton nazwał siedmiu swoich bohaterów imiona mi siedmiu dni tygodnia, zapewne więc pan A — jest redaktorem naczelnym, B — sekretarzem redakcji, a C — redaktorem od kryminału, że to kryminał po łacinie: Carcer. Otóż panowie ABC — zaklęli pana K. M., aby unikając jak najtroskliwiej nowej pisowni, napisał wzniosły artykuł świątecznej potrzeby. Jako człowiek miękkiego od a do zet serca, nie umiałem odmówić dostojnemu alfabetowi i stąd pochodzi to pisanie, od lewej strony do prawej, oczywiście, w ABC bowiem nie wypada inaczej i mogłoby być uważane za złośliwość.

Zastanawiając się nad tematem, natknąłem się na mej drodze na kobietę, najniszczą śliwszą istotę abecadła. Może ona być usymbolizowana przez literę U: — udręczona, umęczona, umartwiona. Dostrzegłem w ponurem i natchnionem zamyśleniu, że dzień powszedni napełnia ją smutkiem, a promienisty dzień święta — zgoła rozpacza. Zaraz to wyłożę tak wymownie, że dobrym ludziom włosy staną na imitacji głowy. — „Posłuchajcie i zważcie u siebie": — Boże Narodzenie jest świętem powszechnej radości, co chodzi po skrzypiącym śniegu. Jedynie kobieta, nie, nie tak! — jedynie Kobieta — nie może sobie pozwolić na odrobinę tej mizerackiej radości, albowiem nie ma na to czasu. Wszyscy wszystko spychają na jej nieszczęsną głowę. Ona jedna ma pamiętać o wszystkiem, aby się inni mogli radować. Ona tylko musi się zaprządz do pługa, aby inni mogli sobie odpocząć w cieniu choinki. „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś". Tak zawsze jakoś wypada, że ona nie śpi, czarny murzyn, nieumęczony murzyn.

Mógłbym na tem ponurem odkryciu zakończyć moje dzisiejsze pisanie, a resztę feljetonu wypełnić niezliczonemi westchnieniami kobiet. Zamiast kropki na końcu mógłbym użyć łzy, co padnie z czułego oka. Nie chcę jednak pominąć sposobności, aby rodzajowi męskiemu nie przypiec sumienia i nie nakarmić go wstydem. Najchętniej wyłowiłbym w przepaści rozsierdzonego serca sporą wiązankę słów grubych i tak dosadnych, aby wszystkim nam, niedźwiedziom, w pięty poszło, ale pan redaktor nie pozwoli. Wiadomo: mężczyzna, członek męskiej mafii, taki sam ciemiężyciel, jak każdy! A słodkie kobiety ledwie dyszą. Wszyscy wyglądają świąt rozpromienionem spojrzeniem, a one z trwogą. Któż bowiem urządzi te święta? One. Kto będzie skrobał rybę, tarł mak, łuszczył migdały, stroił choinkę, piekł kołacze, namawiał idjotę indyka, aby skruszał? One! Kto będzie trudził skołataną głowę, aby na cztery dni starczyło spyży i aby ją utrzymać w stanie jadalnym? One! Kto będzie liczył i liczył z góry na dół i znowu z dołu do góry, aby starczyło na wszystko? One, one! Kto będzie pamiętał, aby dzieciska były schludnie odziane, umyte, szczęśliwe? One! Kto będzie łamał ręce, kiedy uprzejmi djabłowie przyniosą dwa tuziny gości, żarłocznych jak rekiny? One! Mógłbym tak wyliczać do białego rana, muszę jednak przerwać, bowiem serce by mi pękło. Lista gorzkich utrapień kobiety, jest bodaj że dłuższa, niż lista składek dobroczynnych. „Ptaszki w górę podlatują", a ona, nieszczęsna westalka dymiącego domowego ogniska, nawet tak drobnej musi sobie odmówić przyjemności. Tylko wzdycha i płakać do niecki z nieczułemi rybami.

Czy się kto kiedy zastanowił nad ową białogłowską dolą? Czy się kto kiedy jej użalił? Nikt, za mojej pamięci. Dał jej Pan Bóg męża, niechże przeto żona umie ocenić to niebotyczne szczęście. Niechże i święta urządza. Wąsaty drągal sięgnął do kieszeni i myśli, że już uczynił wszystko, do czego był zobowiązany. Ha, ha! Żaden szatan nie potrafi zaśmiać się tak jadowicie, jak ja to czynię w tej chwili... Za pozwoleniem, smętna męska kreaturo! (Zdaje się, że grozi mi kilka pojedynków, ale wtedy ja zwołam bohaterskie kobiety z wałkami od ciasta i połowę rodzaju męskiego wyniesiemy na nożach). Za pozwoleniem! Zważmy uczciwie, co robi pod czas świąt żona, a co robi mąż? O zacnej żonie wiemy wszystko: spełnia ona dwanaście prac Herkulesa i jeszcze siedemdziesiąt siedem innych. A teraz wypatrzmy pana męża oczywiście z abominacją. Pan mąż przedewszystkiem idzie „na rybkę". Jest to odwieczna instytucja pijacka, męski, uzurpowany przywilej, broniony z haniebnym uporem. Jest to wieloryb, a nie „rybka". Siedem grzechów głównych i kilka pobocznych, zebranych przy jednym stole. Niezmiennie powtarza się podczas tej uroczystości gruby dowcipas, że „ryba lubi pływać". To też pływa, hejże, ha! Dlatego niewinnym działkom tłumaczy się wieczorem, że tatusia „rozebrało". Przedtem kazano im mówić rzewnie: — „Tato nie wraca"... Człowiek, wracający z owej „rybki" przypomina sobie czasem, że w czarodziejski wieczór wigilijny zwierzęta gadają ludzkim językiem; dlatego to często ujrzeć można wąsate indywiduum czule przemawiające do dorożkarskiego konia, szlachetny rumak jednakże nigdy z takim nie wdaje się w rozmowę.

Nie to jednak jest najstraszliwszym pomysłem mężczyzny. W świątecznym czasie polska dusza przedziwnie czyni się rozlewna i pragnęłaby cały świat objąć ramionami i całować się z dubeltówki z całym światem. Przeto Polak wszystkich zaprasza na święta, a jest to największego godne podziwu, że najbardziej zaczadziały i zamroczony gość o wszystkim zapomni, ale nigdy o tem, że został zaproszony; zabiera

(Dalszy ciąg na stronie 3-ej)

Jan Jodzewicz

Kto zwycięży?

Życia Narodu nie mierzy się kalendarzem, ale gdy znów jeden rok dobiega końca, mimo woli zadajemy sobie pytanie, czy spełnił on nasze nadzieje, co przyniósł i jakie zapowiedzi na przyszłość kryje w sobie to, co już minęło.

Odpowiedź na to pytanie nie będzie łatwa. Jeśli się nie chce zbytnio upraszczać zagadnienia i zda się sobie sprawę z tego, że nasze życie polityczne płynie, jak gdyby kilkoma różnymi nurtami, prosta, buchalteryjna odpowiedź, że bilans tego roku był dodatni, czy ujemny, będzie wprost niemożliwa. Obok faktów, które każdego pesymistę mogłyby natchnąć otuchą, obserwujemy wydarzenia, które najbardziej niepoprawnego optymistę mogą zniechęcić do życia, a przynajmniej pozbawić ochoty do zajmowania się sprawami publicznymi.

Możemy obserwować dziś w polskim życiu politycznym niesłychane paradoksy. Z jednej strony — coraz szersze ogarnianie społeczeństwa przez ideę narodową, coraz głębsze docieranie do świadomości mas, zrozumienia powagi sytuacji, z drugiej — niewątpliwe pogorszenie się warunków dla znalezienia wspólnej formy działania tych wszystkich, a jest ich niewątpliwie większość, którzy ideę narodową szczerze wyznają, rozumieją powagę sytuacji i bez oglądania się na obce wzory, chcą szukać własnego rozwiązania trudności.

U góry i u dołu wszyscy zgodnym chórem krzyczą: „Precz z międzynarodówkami!", a jednocześnie widzimy, jak zespoły, środowiska, grupy polityczne, będące niewątpliwie narzędziami tychże międzynarodówek, coraz jawniej i śmielej zaczynają działać, coraz szybciej się konsolidują, jakby dając odstraszający przykład, że w imię walki z polskim interesem narodowym można łatwiej ludzi jednoczyć, niż w jego obronie.

Twierdzenie, że w naszym położeniu geopolitycznym jest miejsce tylko na silne państwo i że siła państwa może płynąć tylko z tego, że będzie ono formą prawną Narodu i narzędziem polityki narodowej, jest dziś, zdawałoby się, tak powszechne, że stało się prawie truizmem. Kto by jednak spróbował zadać sobie trud i zbadać, czy ta idea przenika wszystkie dziedziny naszego życia państwowego, ten ku swojemu zdumieniu mógłby się przekonać, że nawet poszczególny wojewoda nieraz prowadzi odrębną politykę, sprzeczną z tym, co się głosi u góry, jakby nawiązując do najgorszych tradycyj dawnych królewiąt kresowych.

Byłoby zamykaniem oczu na rzeczywistość, gdyby się nie doceniało znaczenia walki ekonomicznej i kulturalnej, jaka się dziś toczy z żydami, ale gdy się czyta statystyki polskiego stanu posiadania w zakresie nieruchomości miejskich, w handlu hurtowym, w eksporcie, bankowości, a dalej w wolnych zawodach, gdy się tylko choćby te przykłady wymieni, to bledną już osiągnięte rezultaty i widać dopiero, jak olbrzymie zadania są do osiągnięcia.

Dziś, gdy system rządu w Polsce, oparty na nieufności do społeczeństwa i niechęci do podzielenia się przez grupę rządzącą z kimkolwiek władzą, zdaje się utrwalać na długo, mogłoby się wydawać, że wyjścia z sytuacji nie widać. Niewątpliwie *mechanicznego wyjścia z sytuacji nie widać.* Zdobywanie przez kogokolwiek w dzisiejszych warunkach władzy siłą, musiałoby rozpętać w Polsce wojnę domową, której skutków nie trzeba nawet przewidywać, tak powinny być one jasne dla każdego. Lekarstwem na wszystkie cierpienia, jakim są dla wszelkiego autoramentu demokratów, socjalistów i t. p. wybory, oczywiście wieloprzymiotnikowe, byłyby czymś gorszym, niż nawet powrót do stosunków przedmajowych, byłyby skokiem w ciemność.

Dlaczego zwalczana od chwili odzyskania niepodległości idea narodowa, ogarnia coraz szersze masy, a ludzie, którzy na walce z nią porobili kariery, dziś gotowi są uważać się niemal za jej pionierów?

Jedynie wychodząc z idei narodowej, można znaleźć odpowiedź na pytanie, jak się przedstawia interes narodowy, jakie winny być drogi dla jego urzeczywistniania, tylko ta idea może pociągnąć najwięcej najlepszych jednostek do służby dla Narodu, tylko ona pozwala oprzeć stosunek do Narodu na prawdzie, szczerości, bezinteresowności i ofiarności. Tylko ona jedynie pozwoli znaleźć rozwiązanie naturalne, t. j. odpowiadające interesowi Narodu we wszystkich dziedzinach życia. I temu przypisać należy, że opanowała ona młode pokolenie.

Dzięki latom pracy, pozornie nieraz bezowocnej, osiągnęło się to, że idea narodowa, zdobywając serca i umysły, stała się dziś ideą dominującą i nawet jej wrogowie nie bardzo mogą jawnie przeciw niej występować. Droga dalsza jest może trudna, ale najprościej prowadzi do celu. *Kto zdobędzie się na największą ofiarność i bezinteresowność w pracy politycznej, będzie głosił hasła, w które naprawdę wierzy,* potrafi znaleźć rozwiązanie dzisiejszych trudności i wierzyć będzie sam, że głoszona przezeń idea, potrafi naprawdę zdobyć nawet przeciwników i uczynić z nich towarzyszy dalszej pracy i wspólnej walki. I ten zwycięży. A taki stosunek do idei głoszonej i taki stosunek do pracy politycznej, może dziś być tylko wśród wyznawców idei narodowej, wśród których *znajdzie się dla każdego miejsce, kto naprawdę w tę ideę uwierzy i potrafi się zdobyć na taką postawę moralną.* I dlatego nie gra, nie taktyka, nie zręczność, nie przemalowywanie szyldów i zmiana frontów, czy inne umacnianie się na zdobytych pozycjach, ale *wiara w głoszoną ideę i zdolność poniesienia ofiar dla niej,* ostatecznie zwycięży.

---

przeto liczną rodzinę, czasem i własnego gościa i wkracza tryumfalnie z łyżką za cholewą. I co wtedy? Pani domu, sierota i biedactwo, nawet zemdleć nie może, bo nie ma czasu. Jest zdumiona, przerażona i pobita rozpaczą. Mąż nigdy nie powie, że zaprosił gości, mniemając naiwnie, że nie wezmą tego na serio i nie przyjdą. Wilk może by nie przyszedł, ale gość?! Pani domu, mająca poza sobą kilka dni mordęgi, zaczyna czynić przedziwne hokus-pokus, aby nakarmić rzeszę i tłucze jakieś zamrożone mięso, zamiast utłuc męża, też go przedtem zamroziwszy. Ponieważ kucharka odbywa świąteczne wizyty, nieszczęsna żona... Nie mogę mówić, gdyż cierniste słowa więzną mi w gardle.

Oto jest czarny los żon rozlewnych Sarmatów, podczas świąt najczarniejszy. Jeśli się taki o co zatroska, to chyba o napoje, bo nie dowierza kobiecemu znawstwu. Sam je też wypija. Resztę spycha się na pękającą złotowłosą głowę. Wtedy to jest i „najdroższa" i „jedyna" i „ty moje największe szczęście" i nawet „moja duszyczko". Proste i bez fałszu serce wierzy tym wszystkim zcukrzałym konfiturom. — „Uwielbiam cię moja muszko!" — rzekł raz żarłoczny pająk. Nie chcę siać waśni, radziłbym jednakże słodkim istotom, aby się pilnie przyjrzały tym płomienistym apostrofom. Mąż jest stworzeniem chytrem i podstępnem. Udaje, że jest okropnie przepracowany i że pragnie odpocząć podczas świąt. Kobiecie tego nie potrzeba. Przewrotny wąsal wmówił w nią, że go zgoła obłędnym podziwem napełnia jej mrówcza pracowitość i wciąż pokrzykuje: — „Wy kobiety, jesteście cudowne! Jak wy wszystkiemu możecie podołać?" — I niby cmoka z podziwu, drab przebiegły, a ona, sromotnie ocyganiona, wyłazi z siódmej skóry, aby jeszcze więcej zdumieć barbarzyńcę. Nietylko, że upiecze rozmaite kołacze, nietylko, nie upitrasi sosy i bigosy, nietylko wybłyszczy mieszkanie posypane przez niego popiołem z papierosów i fajki, nietylko oporządzi dzieci, nietylko zbada pod światło każde jajko i każdej rybie zajrzy w skrzela, ale jeszcze temu baszybużukowi benzyną wyczyści zaplamione ubranie i wyprasuje krawat. Co, może nieprawda? Może ja nie wiem?

A co będzie po świętach? To samo, co zawsze było i będzie. Mąż zacznie się sierdzić, że święta okropnie dużo kosztowały, więc niech żona znowu kręci głową, aby zawiązać ogon domowych rachunków, niech doprowadzi do porządku mieszkanie i niech wywabi z obrusów rozlewne plamy po czerwonym winie. Już nie „ptaszek", już nie „duszyczka", tylko: — Słuchajno, Janeczko!" — „a pamiętaj Zosiu!" — wedle doraźnej procedury dnia powszedniego.

Ach, gdybym ja został na miesiąc dyktatorem! Wielkie nastąpiłyby zmiany. Wtedy i kobieta miałaby radosne święta i odetchnęłaby, jak każde stworzenie. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, co krok — oszukaństwo. Wielkie to szczęście, że się znalazł duch wzniosły, taki jak ja, co się ujmie cudzej krzywdy i użali. Po mojej głowie lata jednak jedna myśl uporczywa i taka mroczna, jak nietoperz. Wielcy reformatorowie często trafiali na posępne niezrozumienie i często karmiono ich niewdzięcznością. Coś mi mówi, że i mnie może spotkać los podobny. Kobiety mogą mi rzec głosem suchym, jak pieprz i jak bobkowe liście:

— Może pan ma i rację. Bardzo to nawet prawdopodobne, że pan ją ma... Lecz może nam jest z tem dobrze? Może to cała nasza radość, że możemy się zamęczać dla tych, których kochamy? Może kobiece szczęście mieści się w tych tysiącznych udrękach i może my chętnie płacimy tą udręką za uśmiech w drogich oczach? Więc niech pana o to głowa nie boli...

Tak, tak... Molier był mądrym człowiekiem. Kiedy w jego komedii mąż bił żonę, a w jej obronie stanął kiepski znawca ludzi, wtedy i mąż bijący i pobita żona solidarnie pobili tego, co pchał palce między drzwi.

Jeśli tak — odchodzę. Życzę sobie wesołych świąt!

Kornel Makuszyński

Józef Semlec

Szkoła u sąsiada

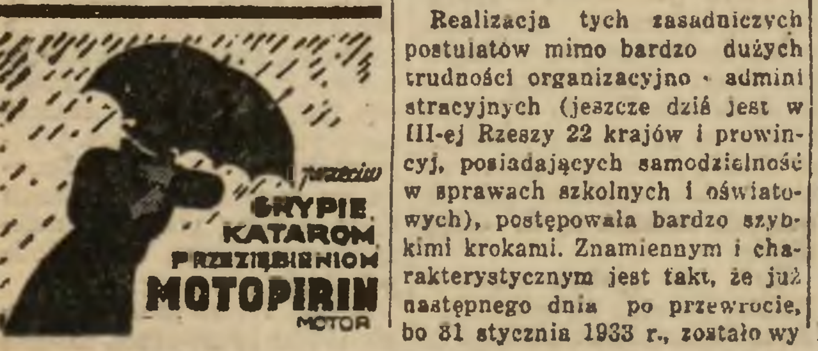
W bieżącym, 1937 r., została przeprowadzona w Niemczech reforma ustroju szkolnego. Jest ona niejako ukoronowaniem przebudowy szkolnictwa i wychowania w myśl zasad i postulatów, sformułowanych przez niemiecki ruch narodowo - socjalistyczny.

Nie może być dla nas obojętnym, jakie zasady obowiązują w tej ważnej dziedzinie życia narodowego naszego zachodniego sąsiada. Interesującym jest nadto, w jakim tempie i z jakim skutkiem były realizowane te zasady.

Przewrót narodowo - socjalistyczny w Niemczech nie przyszedł jak błyskawica z jasnego nieba. Wpływy tego ruchu były w latach, poprzedzających opanowanie władzy (które nastąpiło 30.1.1933 r.), dostatecznie silne. Przyczyniła się do tego zarówno celowa propaganda, jak i tajna organizacja, penetrująca szeroko wszystkie sfery społeczne, — niemniej także i aureola, wytwarzana około Adolfa Hitlera, już po nieudanym zamachu stanu w Monachium (8.11.1923 r.), po procesie, na którym został zasądzony na 5 lat twierdzy (1924), po rozwiązaniu partii narodowo - socjalistycznej, po rozwiązaniu związku młodzieży hitlerowskiej (Nationalsozialistischenjugendbund) po wydaniu książki „Mein Kamp" (1925) i t. d.

Zatem, narodowy socjalizm, w ciągu 12 lat pracy przygotowawczej, tajnej, półjawnej, i jawnej, w pojedynkę i w fachowych zespołach, przepracował najważniejsze dziedziny życia narodu w zakresie politycznym, gospodarczym, kulturalnym, opiekuńczym — nic przeto dziwnego, że w narodzie, którego jednostki w olbrzymiej większości są dziedzicznie obciążone dyspozycjami posłuchu, karności, i ładu, realizacja przemyślanych, zdecydowanie narzucanych i konsekwentnie przeprowadzanych zasad i postulatów, dała się szczególnie w szkole i wychowaniu, stosunkowo szybko ucieleśnić. (Książka E. Kriega, p. t. „Wychowanie narodowo - polityczne" miała przed przewrotem hitlerowskim 14 wydań).

Postulaty narodowego socjalizmu, w zakresie szkolnictwa i wychowania, można streścić w następujących skrótach:



Szkoła w państwie narodowo-socjalistycznym ma wychowywać dzieci w miłości ojczyzny i ziemi i przygotować do samodzielnej, bezinteresownej, ofiarnej współpracy dla społeczności niemieckiej. W przeciwieństwie do liberalistycznego systemu wychowania, system narodowo - socjalistyczny, nie indywidualistyczne uzdolnienia, lecz przede wszystkim wychowanie zmysłu obywatelskiego i ducha społecznego współżycia, uważa za swoje główne zadanie.

Wychowanie narodowo - socjalistyczne pragnie wychować uczniów niemieckich szkół na takich obywateli państwa, którzy w każdej chwili, nie tylko za ojczyznę, lecz także za Niemców, żyjących po drugiej stronie granic państwowych, gotowi będą oddać swój majątek i krew.

Wychowanie narodowo - socjalistyczne ma zaprawić młodzież do pieczy nad rasą, celem wytwarzania zdrowego, niemieckiego organizmu narodowego oraz wyobcowania z niego wszelkich niearyjskich elementów rasowych. Państwo marksistowskie, dla którego pojęcie świadomości rasowej było obce, patrzyło obojętnie na obniżenie wartości niemieckiego organizmu narodowego, rozsadzane go przez małowartościowe, obcorasowe elementy.

Narodowo - socjalistyczny kierunek wychowawczy, ma nosić nazwę „szkoły charakterów", co ma przypominać, że młodzież znowu do porządku i karności winna być wdrażana, oraz, że charakter i wola dziecka winna być rozwijana na równi ze zdolnościami umysłowymi. Kształcenie charakteru i woli, obok innych czynników należy osiągać przez kulturę ciała i wszelkiego rodzaju sporty.

Dzieci mają być wychowywane w duchu głębokiej czci dla Boga i w poszukiwaniu wartości irracjonalnych.

Dziewczęta mają być tak wychowywane, aby następnie, jako żony i matki, spełniły właściwą rolę w niemieckiej rodzinie.

Postawienie zasady przywództwa w szkole i wychowaniu przez uproszczone i celowo zorganizowane kierownictwo, zapewnić winno warunki dla świadomej celu pracy kształcącej i wychowawczej. (Zmierzch znaczenia rad pedagogicznych).

Realizacja tych zasadniczych postulatów mimo bardzo dużych trudności organizacyjno - administracyjnych (jeszcze dziś jest w III-ej Rzeszy 22 krajów i prowincyj, posiadających samodzielność w sprawach szkolnych i oświatowych), postępowała bardzo szybkimi krokami. Znamiennym i charakterystycznym jest fakt, że już następnego dnia po przewrocie, bo 31 stycznia 1933 r., zostało wydane rozporządzenie o przywróceniu karności w szkołach.

Rozporządzenie z dnia 19 marca 1933 r. (Pruski Minister Oświaty) wprowadziło szczegółowe wytyczne nauczania historii i krajoznawstwa oraz nowe przedmioty: wiedza o rasie, nauka o dziedziczności, opieka nad dziedzicznością, wiedza o rodzinie i polityka ludnościowa.

Naukę historii polecono oprzeć na dziejach Germanów i historii po - Bismarkowskiej; cel: oudzenie dumy narodowej. Wytyczne w sprawie nauczania tych przedmiotów opracowane przez zarząd szkolny w Hamburgu i rozpowszechnione 15 grudnia 1933 r. w całej Rzeszy, polecają nauczycielom, aby na historycznych przykładach wyłożyli uczniom kwestię żydowską. Uczniowie winni być pouczeni, że wytępienie żydów (Die Ausrottung, Pogrome) jest zupełnie wykluczone; emigracja (Die Auswanderung, Zionismus) jest bardzo ograniczona; asymilacja (Die Angleichung, Assimilation) jest wprost niebezpieczna; odosobnienie (Ghetto) nie da się już przywrócić, — pozostaje tylko wyraźny, prawny podział na naród - gospodarzy i naród - gości.

Praktycznie z zagadnieniami rasowymi, rodzinnymi i ludoznawczymi winna młodzież szkolna zapoznawać się bezpośrednio w wiejskich osiedlach szkolnych i w obozach szkolnych na wsi. Obowiązujące wytyczne w tej sprawie zostały ogłoszone 4.10.1933 r. z bardzo wyraźnym wskazaniem, że zarówno osiedla, jak obozy, mają nie tylko cele naukowe i zdrowotne, lecz przede wszystkim i w pierwszej linii narodowo - polityczne.

Jako formę budzenia miłości ojczyzny, oraz poznawania usposobienia i pracowitości niemieckiego narodu, zalecono wycieczki. Jednym z obowiązujących działów w tej dziedzinie mają być wycieczki do Prus Wschodnich, aby uczniowie wyrobili sobie pojęcie „o walce życiowej rodaków i o ciężkich okolicznościach utrudniających łączność z nimi".

Rozporządzeniem z 8 maja 1933 r. nałożono na dyrekcje szkół obowiązek wprowadzenia zagadnienia „Niemcy zagranicą", które, na podstawie wskazanych materiałów, ma być omawiane we wszystkie soboty miesiąca września każdego roku.

Głośna dziś sprawa zwrotu kolonij, poruszona została już w okólniku do szkół 19 sierpnia 1933 r. Stwierdziłem w czasie moich ostatnich wędrówek po Niemczech, że sprawa zwrotu kolonij, w ciągu ostatnich 4-ch lat, została od góry do dołu, od miast do wsi, najgruntowniej spopularyzowana przez szkoły wszystkich typów, organizację młodzieży „Hitlerjugend" (7 milionów członków), organizację kulturalną „Kraft durch Freude" („Siła przez radość", 16 milionów członków) i t. p. Wystawy kolonialne odbyły się nieomal we wszystkich miastach powiatowych. Wydano specjalne, umiejętnie opracowane mapy propagandowe i tym wszystkim rozbudzono i utrwalono świadomość tego postulatu w całym narodzie. Dlatego październikowe wystąpienie kanclerza Hitlera, którego byłem świadkiem, było tylko ujawnieniem tego stanu rzeczy, jaki w umysłach i duszach Niemców już istniał od szeregu miesięcy, nic przeto dziwnego, że reakcja Niemców w październikowym „Dniu wdzięczności za plon" była oszałamiająca.

Zasada przywództwa w szkołach, została wprowadzona rozporządzeniem 9 grudnia 1933 r. Za szkołę, tryb pracy, jej wyniki i porządek w zakładzie, oraz za wykonanie zarządzeń władz wyższych, odpowiada osobiście dyrektor (rektor, kierownik). Każdy nauczyciel odpowiada osobiście za swoją pracę w szkole i poza szkołą, a roporządzenie przypomina mu, że ma być wychowawcą w duchu narodowo - socjalistyczno - państwowym, kształtującym niemiecką przyszłość.

Zreorganizowano również zakłady kształcenia nauczycieli szkół ludowych. Wyrzucono dawną nazwę „Pädagogische Akademie" i razem z tymi dwoma obcymi wyrazami z nowego typu zakładu „Hochschule för Lehrerbildung" usunięto z programu wszystko co obce i zamknięto wpływ wszelkim „międzynarodowym i ludzkościowym tendencjom". Wprowadzono nowe przedmioty: ludoznawstwo, geografia obronności, nauka o przygraniczu. Powiedziano, że prawdziwym nauczycielem ludu może być człowiek bez cech wielkomiejskich, uczuciowo i życiowo najściślej związany z dziejami, kulturą i pracą wsi. Kandydat na nauczyciela musi przejść przez dobrowolną służbę pracy na wsi. Przez ten t. zw. „Landjahr", obejmujący w swym programie bezpośrednio pracę na ziemi i sport terenowy, zostali przeprowadzeni również docenci i asystenci uniwersytetów, szkół technicznych, gospodarczych, weterynaryjnych i t. p.

Przełom narodowo - socjalistyczni wycisnął swoje piętno także w szkolnictwie wyższym. Od 1924 r. każdy abiturient, ubiegający się o przyjęcie do uczelni wyższej, musi złożyć dowód odbycia dobrowolnego półrocza pracy na wsi. Składa się na to 4 miesiące pracy kilofem i łopatą, po 6 godzin dziennie, oraz półtora miesiąca ćwiczeń sportowych w terenie. Akademicy stanowią zasadniczo, liczebnie 1/3 uczestników obozu, 2/3 młodzieży pochodzi ze sfery włościańskiej i robotniczej. Dla uniknięcia nadprodukcji osób z wyższym wykształceniem, już w 1934 r. ograniczono ilość abiturientów, którzy mogą być przyjęci do szkół wyższych, do 15.000, przyczem ilość abiturientek nie może przekroczyć 10 proc. Przy przyjmowaniu abiturienta do szkoły wyższej, ma się brać pod uwagę jego umysłową dojrzałość, fizyczny rozwój, narodową świadomość, oraz wymagania, związane z obranym kierunkiem studiów.

Abiturienci, którzy nie uzyskają miejsca w uczelni wyższej — mówi raozporządzenie ministra spraw wewnętrznych Rzeszy z 20 kwietnia 1933 r. — w żadnym wypadku nie mogą być uważani za mniej wartościowych bowiem w państwie narodowo - socjalistycznym, czowiek szacowany jest nie według wykształcenia, lecz według jego przydatności zawodowej.

Wreszcie sprawa wychowania i kształcenia dziewcząt „dla prawdziwej kobiecości" została załatwiona przez wydanie rozporządzenia o konieczności oddzielnego uczenia się chłopców i dziewczat. Koedukcja może być stosowana w wyjątkowych wypadkach, w szkołach wiejskich, w miejscowościach, gdzie względy gospodarcze i ludnościowe nie pozwalają na naukę oddzielną. Dziewczęta winny być tak wychowywane, aby jako żony i matki, spełniły swoją rolę w niemieckiej rodzinie.

Tak więc w bardzo krótkim okresie czasu wykonano pierwszy etap prac zamierzonych w dziedzinie szkoły i wychowania. Zakończenie tego etapu było powołanie do życia przez kanclerza Hitlera 1 maja 1934 r. Ministerium nauki, wychowania i oświaty Rzeszy.

Ministerium zharmonizowało czynności administracyjno - szkolne w poszczególnych krajów i prowincji, powołało potrzebne instytucje pomocnicze („Zentralinstitut für Erziehung und Unterricht", „Reichstelle für den Unterrichtfilm") i zajęło się przygotowaniem reformy ustroju szkolnego, zapewnieniem odpowiednich podręczników i t. d.

Wprowadzona w bieżącym roku reforma ustroju szkolnego posiada następujące cechy zasadnicze:

1) skraca o jeden rok czasokres nauki szkolnej, przygotowującej do studiów wyższych: w miejsce dawnych 13 lat, obowiązuje obecnie 12.

2) Kasuje wielokierunkowość w dziedzinie kształcenia średniego i wprowadza obowiązujący, zasadniczy już typ szkoły średniej „Oberschule", z ośmiu klasami, opartymi na czterech klasach szkoły ludowej, z językiem angielskim od pierwszej i łaciną od trzeciej klasy. Szkoła ta w ostatnim 3-leciu (klasa 6, 7 i 8) rozpada się, na dwa wydziały, dla chłopców: językowy, lub przyrodniczo - matematyczny, dla dziewcząt zaś językowy lub gospodarstwa domowego.

Gimnazjum 8-klasowe oparte na 4-ch klasach szkoły ludowej, z łaciną od pierwszej, greką od trzeciej i językiem angielskim od szóstej, pozostawiono jako formę poboczną.

3) Wprowadza język angielski i łacinę, usuwa, tak bardzo dawniej rozpowszechniony w szkole niemieckiej, język francuski i grekę.

Tak wygląda w wielkim skrócie obecna szkoła u naszego zachodniego sąsiada. Praktyczne wykonanie wymienionych wyżej postulatów i zasad, w oczach krytycznie obserwującego ją polskiego wędrowca, przedstawia się dodatnio.

Pesymista

Pan Franciszek mieszkał na ulicy dość oddalonej od śródmieścia, niczym nie różniącej się od paru innych przecnic w tej dzielnicy, mieszkał w domu spokojnym i cichym. Ale jeszcze mu było za głośno.

Nieraz o zmierzchu walił długą szczotką na kiju w którąś ze ścian, albo w sufit, „bo przecież te kanalie z tym radiem ani spać ani jeść człowiekowi nie dadzą".

To znów wściekał się, że kran w łazience niedokręcony, że elektryczności dużo się wypala, że kurz na półce z książkami, że Antoniowa „znowu psiakrew na rajce poszła", że herbata za mało naciągnęła, albo że buciki są nieoczyszczone.

Miał tysiączne, niekończące się powody do ciągłego niehumoru i irytacji.

Należał do wcale licznego typu ludzi, mniemających, że pestki tylko poto znajdują się w owocach, ażeby utrudniać jedzenie.

Pan Franciszek miał wygląd buldogowaty, ceglasto - czerwone policzki, parę kosmyczków siwych włosów na łysej czaszce, platfusy i chorą wątrobę.

Zajęcie?

Był emerytem.

Aspiracje miał w swoim czasie duże — zato emeryturkę teraz niewielką, co nie przyczyniało się rzecz prosta do różowego patrzenia na świat.

A i stara Antoniowa optymizmem nie grzeszyła.

Człapiąc rozdeptanymi pantofliskami i całymi dniami zrzędząc bez przerwy, judziła jeszcze pana Franciszka, który wreszcie nie mogąc już w domu wytrzymać trzaskał mocno drzwiami i wychodził na miasto.

Ale i tu coś go ciągle z równowagi wyprowadzało.

To długi sznur wozów przeszkadzał mu przejść na drugą stronę ulicy, to czerwony sygnał gasł właśnie w momencie, kiedy się znajdował na środku jezdni, to chłopiec z gazetami darł się tak przeraźliwie, że pana Franciszka aż podnosiło, to potrącano go niegrzecznie.

Słowem chwili spokoju pan Franciszek nie miał.

Jaki taki wypoczynek znajdował jeszcze w „Wiedeńskiej", małej cukierence na rogu, gdzie prawie zawsze było zupełnie pusto, a wyleniałe, czerwone kanapki pod ścianami nadawały temu wnętrzu wygląd archaiczny i zaciszny.

Tu codziennie po południu spotykał się z panem Benedyktem, na gazetach. Tak koło godziny szóstej stanowili poprostu składową część wnętrza kawiarni „Wiedeńskiej", narówni z wyleniałymi kanapkami i chybotliwymi stolikami.

Pan Benedykt był drobniutkim, zasuszonym staruszkiem, z wysoko, aż pod nos niemal zachodzącą dolną szczęką, małymi, kościanymi rączkami i nieodstępną fajką, która mu wiecznie gasła. Był starszy od pana Franciszka i ludzie, sprawy, zdarzenia mieszały mu się już trochę.

Słuch przy tym zawodził go często, to też rozmowa z nim natrafiała na pewne przeszkody. Zato jako kompan do czytania gazet był nieporównany.

— Jakże tam mina dzisiaj, panie Benedykcie?

— A istotnie panie, te Chiny... rzeczywiście panie, to straszne!

Pan Franciszek machał ręką i zabierał się do gazet.

Ale i tu nie znajdował ukojenia.

Morderstwa i grabieże doprowadzały go do furii.

— Oto są rezultaty nowych metod wychowawczych! — warczał w stronę pana Benedykta, uderzając wierzchem dłoni w odpowiednią szpaltę.

— Zawsze mówiłem, panie, że tylko poglądy zachowawcze, że tylko panie zachowawcze...

Pan Franciszek znów machnął ręką.

Układów międzynarodowych i rezultatów obrad komisyj rozbrojeniowych pan Franciszek nie ratyfikował prawie nigdy. Nawet ogłoszeniom i wiadomościom kronikarskim miał wiele do zarzucenia.

A był to właśnie okres, w którym ogłoszeń i rozmaitych nowinek z dnia było sporo.

Zbliżał się Nowy Rok.

Pan Franciszek nie miał właściwie nikogo bliskiego na świecie, to też każde święta wzmagały w nim tylko poczucie zupełnego osamotnienia i wydawały go na łup zrzędzeń Antoniowej.

Jeden był tylko jaśniejszy punkt w jego życiu, właśnie Nowy Rok.

Tego dnia odwiedzali go Hala i Michaś, dzieci jedynych jego krewnych. Z rodzicami ich już oddawna o coś tam się posprzeczał i nie utrzymywał z nimi stosunków, dzieci jednak w większe święta, a już zawsze w dniu Nowego Roku odwiedzały pana Franciszka, otrzymując od niego drobne upominki.

W przeddzień Sylwestra pan Franciszek siedział w „Wiedeńskiej" bardziej zły i pochmurny, niż zwykle.

Przede wszystkim kawiarnia była pełna, czego nie znosił, poza tym nawet wyzłościć się nie miał komu, bo pan Benedykt dzisiaj niewiadomo dlaczego nie przyszedł, zaś nadomiar złego finanse pana Franciszka przedstawiały się wskutek paru nieprzewidzianych wydatków zupełnie opłakanie.

A tu za parę dni Nowy Rok!

Odwieczny Jan przyniósł jak codzień małą czarną i plik gazet.

Pan Franciszek począł je wertować niechętnie i bez przekonania. Ogłoszenia najrozmaitszych firm, których było mnóstwo, tańczyły mu przed oczami przekornie i złośliwie.

Szykał wśród nich czegoś odpowiedniego i przystępnego.

— Chyba napiszę do smarkaczy, że wyjeżdżam, czy co? — mruknął w końcu zniechęcony zupełnie.

Wąsaty Jan odszedł właśnie od sąsiedniego stolika i stanął nieznacznie przy panu Franciszku.

— Szanowny pan zwrócił uwagę na to? — wskazał ręką na rozłożoną gazetę.

— A cóż tam jest takiego? — warknął pan Franciszek.

— Niech szanowny pan będzie łaskaw sam przeczytać. To naprawdę interesujące.

Pan Franciszek pochylił się nad szpaltą.

„Książeczki oszczędnościowe P. K. O. V-ej serii" — czytał — „wkład miesięczny wynosi 5 złotych, kilkudziesięcio i kilkuset złotowe premie, losowane co 3 miesiące. Po 114 miesiącach otrzymać można nie tylko zaoszczędzone 600 zł., ale i ostatnią, największą premię za wytrwałość w oszczędzaniu, wynoszącą 400 zł., co razem stanowi 1000 złotych — poważną sumę dla człowieka pracy".

Pan Franciszek dwa razy czytał to zawiadomienie, a potem przeczytał jeszcze po raz trzeci.

— Rzeczywiście ciekawe... bardzo ciekawe... — mruknął w stronę Jana, stojącego cicho na boku.

Jeszcze chwilę nad tym rozmyślał.

— Płacić!

Wyszedłszy na ulicę nie miał już żadnych wątpliwości co ofiaruje dzieciom jako podarek noworoczny.

— Tak. To właśnie jest to, czego szukałem — mamrotał do siebie, czekając na przystanku.

Nawet ścisk w tramwaju nie potrafił go wyprowadzić teraz z dobrego humoru.

— Że też w powodzi tych wszystkich bzdur i idiotyzmów znalazła się choć jedna rozsądna rzecz — rozmyślał dalej — jedna istotnie potrzebna i celowa. Gdybym przedtym o tym wiedział, nie wahałbym się wcale. Naturalnie, taka książeczka V-ej serii to doskonały sposób nauczenia bąków racjonalnego oszczędzania. To mi się naprawdę udało.

— Niechże pan uważa — już ciskał się na kogoś obok — przecież widzi pan, że się śpieszę.

Wysiadał na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, skąd już tylko parę kroków było do P. K. O.

Wojciech Zaleski

John Maynard Keynes

Szarlatan ekonomii

Dlaczego właśnie mamy się zastanawiać nad naukami Keynesa, ekonomisty angielskiego, znanego niegdyś ze swych sympatii do Niemiec? Co nas zresztą obchodzi cała ekonomia Keynesa, wyrosła na zupełnie innym podłożu niż nasze?

A jednak dziś ekonomiści o niczym innym prawie nie mówią i nie piszą. Keynes wprowadza zamęt, obalając ogólnie przyjęte pojęcia, wprowadzając nowe „prawa" i wyciągając z tych praw nowe wnioski.

Trudno nawet dać streszczenie rozumowań Keynesa. Trzeba by w tym celu zaprodukować nową seryjkę zawiłych wykresów, niezrozumiałych dla nie - fachowca. Ograniczymy się do podania wniosków praktycznych Keynesa.

Wywodzi on, że dla zlikwidowania chronicznego bezrobocia państwo musi stale podnosić sumę kredytów i obniżać stopę ich oprocentowania — bez względu na to, czy ceny idą w górę, czy w dół, póki w ogóle jest bezrobocie.

Rozumowania Keynesa opierają się na dwu istotnych założeniach: po pierwsze na tym, że istnieje rzesza bezrobotnych, których należy wciągnąć do procesów produkcji i wymiany, po drugie, że część dochodów nie jest przeznaczona ani na spożycie, ani na nowe wkłady.

W tych warunkach rozumowanie Keynesa jest słuszne — ale nie jest znowu tak daleko idącą nowością. Skoro w dzisiejszej gospodarce pieniądz jest niezbędnym narzędziem wymiany i produkcji — unieruchamianie tego narzędzia musi wywoływać zamieszanie w gospodarce, musi hamować procesy wytwórczości i wymiany.

Otóż w takich wypadkach może być uzasadnione pomnażanie kredytów i pieniądza. Co więcej — może ono wpłynąć na uruchomienie funduszów „stezauryzowanych" — gdyż stwarzając pewne ożywienie, zachęci ludzi do spekulacji.

Ale co dalej? Czy zwiększone kredyty znów nie wywołają nadmiernego rozrostu spekulacji, wzrostu cen i załamania? Kaynes na to daje bardzo prostą odpowiedź: trzeba znów pomnażać kredyty bez końca, trzeba podejmować inwestycje publiczne, gdy ludzie przestaną robić inwestycje prywatne.

Jak widzimy jest to swego rodzaju ekonomia radosnej twórczości. Pytanie, czy może ona trwać bez końca? Na to pytanie można dać odpowiedź wykrętną: **W Anglii dłużej niż gdziekolwiek indziej.** Bo w Anglii ludzie uważają, że funt jest zawsze funtem. W okresie wahań angielskiej waluty pewien importer brytyjski pisał do swego dostawcy w Polsce, że trudno robić z Polską interesy, bo kurs złotego ciągle skacze to w dół, to w górę.

Anglik ma taki stosunek do funta i innych walut, jak człowiek nie znający zdobyczy Kopernika do słońca i ziemi: wydaje mu się, że inne waluty idą w górę lub w dół, a funt stoi w miejscu, choćby jego wartość w złocie spadała. Anglik nie powie „funt spada", tylko „złoto drożeje".

Przy wielkim bezrobociu i płacach utrzymywanych na względnie wysokim poziomie, pomnażanie ilości pieniądza nie wywołuje w Anglii w tym stopniu poprawy zarobków i zwyżki cen, co w innych krajach.

Ale z czasem dojść może do komulacji dwu procesów: ożywienia wynikającego z działalności inwestycyjnej państwa i z nastrojów publiczności, uruchamiającej martwe kapitały.

Anglii niczym to jednak nie grozi, bo nawet zwyżka cen wywołująca odpływ złota nie byłaby dla niej narazie zbyt groźna.

Ekonomia Keynesa, mimo pozorów rewelacyjności i mimo prób nadawania jej charakteru ogólnego jest więc ekonomią specyficznie angielską, niebezpieczną dla innych państw.

Nie należy zwłaszcza przyjmować za dobrą monetę twierdzenia, że nadmiar oszczędności może być niebezpieczny. Tylko oszczędność unieruchamiana jest szkodliwa — oszczędność inwestowana rentownie jest dla życia gospodarczego o wiele korzystniejsza.

Ta podstawowa prawda jest w Polsce o wiele bardziej zrozumiała, niż np. w Anglii. A inwestycje nie mogą powstawać inaczej, niż dzięki oszczędności.

* * *

Teorie Keynesa są próbą stworzenia systemu mającego usunąć chroniczne bezrobocia i wahania koniunktury. A wahania te powstają wskutek wybujałej spekulacji, wskutek oderwania wytwórczości od potrzeb ludzkich, stanowiących najpewniejszy czynnik nie stałości, ale stałego rozwoju wytwórczości.

Oderwanie od tych naturalnych podstaw wymiany i produkcji, które doprowadziło do przewagi spekulacji, mści się dziś na gospodarce świata okrutnie. Próby usunięcia niedomagań przez same zmiany polityki pieniężnej nic tu nie pomogą.

Serdecznie dziękuję p. dr. Wejrochowi i p. dr. Koszli za tak sutbelne zrobienie skutecznej operacji głowy. Serdecznie dziękuję bezinteresownym bohaterom, którzy nie czekając na spisanie protokułu wyciągnęli mię z rozbitego tramwaju na Nowym Zjeździe i przewieźli do Szpitala Przemienienia Pańskiego, oraz Wszystkim, którzy tyle dobrego serca okazali mi w szpitalu.

Wszystkim Bóg zapłać

Seweryn Lubiniecki.

Przemysław Warmiński

Zabierzcie sobie Niemcy... Niderlandy!

Na wystawie w Düsseldorfie, mającej być propagandą reżimu hitlerowskiego, — porozwieszano moc tablic statystycznych, map i wykresów. Wiele z tych map obejmuje razem cały obszar państwowy, niemiecki łącznie z przedzielonymi polskim Pomorzem, Prusami Wschodnimi. I jak gdyby dla celów propagandowych na mapach tych wykreślona jest linia graniczna, łącząca Prusy Wschodnie bezpośrednio z Rzeszą i zaliczająca do niej nie tylko Gdańsk i pomorski „korytarz", ale i zachodnią część Wielkopolski i cały Śląsk. Nie są to co prawda mapy polityczne, a więc i granice te niekoniecznie muszą być granicami politycznymi, cel propagandowy takiego przedstawiania jest jednak jasny i wyraźny: chodzi o uzewnętrznienie niemieckich marzeń, planów i nadziei.

Nie budzi to w każdym razie wątpliwości w nas, Polakach, zwiedzających w końcu ubiegłego lata wystawę düsseldorfską. Nie budzi nawet i większego oburzenia, przyzwyczailiśmy się już bowiem w czasie pobytu w Niemczech do nastroi odwetowych niemieckich i do ukrywanej pod pozorami serdeczności pewnej pogardy i lekceważenia niemieckiego w stosunku do wschodniego ich sąsiada.

Końcowe tygodnie wystawy, ściągają do Düsseldorfu tłumy zwiedzających. Jest więc ścisk nie tylko w pawilonach i na ulicach miasta, ale i w hotelach, czy pensjonatach. Trudno jest otrzymać wygodne i niedrogie pomieszczenie w samym mieście. Trzeba szukać go gdzieindziej, poza miastem, w licznych pobliskich miasteczkach, połączonych z Düsseldorfem wygodnymi szosami. Tym bardziej, że mamy przecież samochód.

Skusiło nas jednak wjechać na przebiegającą obok miasta autostradę. Jest ona wygodna, szeroka i jasno oświetlona, ale omija niestety wszelkie zamieszkałe miejscowości. Po niewczasie więc decydujemy się zjechać z niej w pierwszą lepszą boczną drogę i jechać nią na oślep w całkowitych ciemnościach nocy. Przy pierwszym zabudowaniu pytamy się o nocleg: otrzymujemy informację, że o kilka kilomerów w głąb lasu jest leśna oberża, w której na pewno dostaniemy tanie i wygodne pomieszczenie. Ruszamy więc w las samochodem, zadowoleni, że zapowiada się tak romantycznie i sielsko.

„Leśna oberża" pod Düsseldorfem zapełniona jest jednak jedynie w dni świąteczne. Teraz jest pusta i spokojna. Wita nas gospodarz, tęgi i piegowaty „Prusak" i prowadzi wpierw, — nim przygotuje się pokoje—do sali restauracyjnej. Dwóch miejscowych „gości" ciągnie tam z kufli codzienne swe porcje piwa. Prócz tłustego gospodarza „honory domu" czyni syn jego, dorastający „nordyk" w krótkich spodzienkach, binoklach i jaśniejącej — być może od wody utlenionej — czuprynie.

Niespodziewane przybycie późnym wieczorem dwu gości w samochodzie o polskich znakach rejestracyjnych wywołuje w spokojnej, na pół już uśpionej oberży pewną sensację. Dosiada się więc do nas na rozmowę gospodarz ze swoim synem, dosiadają się wkrótce i dwaj miejscowi,



zajęci dotychczas piwem — „notable". I oczywiście zaczyna się rozmowa polityczna, o zmianach, które widać na każdym kroku w Niemczech, o geniuszu i wielkości Hitlera... o stosunkach polsko - niemieckich.

Znajdujemy się w Nadrenii. Giospodarz nasz jest jednak nie tylko z wyglądu prawdziwym „Prusakiem". Jest nim i z pochodzenia i z ducha przede wszystkim. Urodził się w Meklenburgii, przez pewien czas mieszkał na Śląsku, dopiero od kilku lat przeniósł się tutaj na zachód Niemiec. Nic dziwnego więc, że interesuje się przybyłymi z Polski gośćmi i że pali się wprost do rozmowy z nimi na tematy... polityczne, akcentując w niej co chwila swój pruski patriotyzm, pruską butę i pruską „niepolityczność".

Zaczyna bowiem w pewnej chwili zupełnie „niepolitycznie", na pewno nie według dyplomatycznych wskazówek berlińskiego „Aussenministerium". Gdy bowiem mówimy ze sobą o Pomorzu, pada z ust jego niespodziewane, z głębi pruskiej duszy wydarte stwierdzenie: „A jednak będziecie je musieli nam oddać, i znowu będzie niemieckie całe Pomorze".

Przypominają się mi mapy, wiszące niedaleko w pawilonach propagandowej wystawy w Düsseldorfie, — i ogarnia mnie gniew i zawziętość ta sama, która ogarniała swego czasu „pokonanego" Bartka Zwycięzcę czy też Ślimaka z „Placówki" Bolesława Prusa, i która i dziś ogarnia każdego Polaka, gdy rozmawia z Niemcami w Niemczech o... Polsce. Na tę „pomorską" prowokację i zaczepkę nie można pozostać dłużnym. Zaczyna się więc — tutaj w leśnej oberży pod Düsseldorfem — słowny bój polsko - niemiecki o... Pomorze i o jego polskość, w walce tej jestem sam przeciwko czterem, towarzysz mój bowiem ledwie, że coś zrozumie po niemiecku, a zdanie oberżysty poparte jest przez syna i obu miejscowych piwoszy.

Opowiadam więc na pozór spokojnie, że Pomorze jest nie tylko w 90 procentach polskie, ale że poza tym bronione jest przez armię polską, która umie zwyciężać nawet liczniejszych od siebie i która już nieraz tryumfowała nad wojskami niemieckimi, wystarczy przypomnieć Płowce, czy Grunwald. I że taki Grunwald gotowi jesteśmy powtórzyć i teraz, gdy zajdzie tego potrzeba.

Ostre w swej treści to wystąpienie zmitygowało trochę Niemców. Piegowaty, gruby oberżysta rozpoczął się wycofywać. Zaprzeczył, by miał na myśli wojnę polsko - niemiecką, bo przecież między obu narodami są i będą dobre pokojowe stosunki. Mówiąc o oddaniu przez nas Pomorza, miał na myśli wzajemne pokojowe pertraktacje.

„Nie na polach bitew, ale przy zielonym stoliku zadecyduje się los Pomorza. I może być pan pewien, że zgodzicie się wówczas dobrowolnie na odstąpienie nam zachodnich swych ziem, dawniej należących do Niemiec. Wojna między nami jest wykluczona, ale nie trzeba zapominać, że i zielony stolik ma jakieś znaczenie w stosunkach międzynarodowych".

Inni Niemcy kiwają na to potwierdzająco głowami, z jak mś tryumfalnym poczuciem wyższości. Nie ulega wątpliwości, że to, co mówi oberżysta, są dla nich prawdy, w które ani przez chwilę nie wątpią; i które stanowią podstawę ich „serdecznego" na pozór stosunku do Polski.

Trzeba im je więc wybić z głowy. Tłumaczę długo, że Pomorze posiada dzisiaj już tylko 9 proc. Niemców, że po 15 latach spolszczone zostało ostatecznie, bez reszty. Że stanowi dla nas najważniejszą, bo łączącą z morzem, część Polski, i że nikt ani przez chwilę nie myśli o odstąpieniu go dobrowolnym. Sam Hitler przecież oświadczył, że dzisiaj możliwe są jedynie państwa narodowe, że wykluczone jest decydowanie o ziemiach bez uwzględnienia narodowości ich mieszkańców, że narodowe Niemcy chcą szanować także i narodowość innych.

Teraz zabrał glos „nordycki" syn oberżysty. Widać było, że przeszedł już odpowiedni kurs „ideowy", w kórejś z organizacji hitlerowskich, i że ma także i w sprawie polskiej „swój wyrobiony pogląd". Rozpoczął więc od argumentów historycznych, od wykazywania, że własność nieruchoma jest jeszcze na Pomorzu przeważnie niemiecka. I że Pomorze jest Niemcom koniecznie do normalnego życia potrzebne.

„A jeżeli wam Polakom potrzebne są jakieś rekompensaty, jeżeli konieczny jest dostęp do morza, to przecież możemy wam pomóc w uzyskaniu go przez Litwę, czy przez Ukrainę. Litwa zastąpić wam może zupełnie dobrze „korytarz" pomorski, a bogata w surowce Ukraina „czysto niemiecki" Górny Śląsk. Niemcy nie będą się temu sprzeciwiać".

Aha, a więc tak się rzeczy przedstawiają, takie są marzenia młodych hitlerowców. Odżywają więc znów dawne teorie niemieckie o „wielkiej przeprowadzce" narodów, z ustępujących swe miejsca narodowi nadludzi. Dyskusja w tych warunkach nie ma po prostu sensu. Ale można jedynie zadrwić z Niemców i wbić im do doktrynerskich głów niebezpiecznego klina.

Odpowiedziałem więc, że jest to myśl wielka i niegłupia. Ale my się na to nie godzimy, proponując w zamian co innego. Miano wicie my zabierzemy — bo jest nam to potrzebne — nie tylko Prusy Wschodnie i Gdańsk, ale i całe Pomorze Niemieckie i Śląsk aż po Odrę. A w zamian za to zgadzamy się wspaniałomyślnie na włączenie do państwa niemieckiego Szwajcarii, Luksemburga i... Niderlandów. Oto proponowana Niemcom z polskiej strony... uczciwa rekompensata.

W szeregach niemieckich zapanowała widoczna konsternacja. Niebardzo wiedzieli, czy mówię poważnie, czy też żartuję, czy mają się gniewać, czy uśmiechać. Dyplomatycznie wybawiłem ich z tej trudności, oświadczając, że jest już późno i że trzeba nam wszystkim iść spać. A o Pomorzu czy Niderlandach nie my teraz będziemy decydować.

Podaliśmy sobie zgodnie i serdecznie ręce na pożegnanie i życzyliśmy na wzajem dobrej nocy. Jedynie młody „nordyk" z pod Düsseldorfu miał trochę skrzywioną twarz. Czyżbym mu w czymś pogmatwał wyrobiony jego „światopogląd" polityczny i moralny? Jeżeli, to spokojny jestem, że będzie to tylko przejściowe.

W nocy przyśnił mi się za to stary Onufry Zagłoba. Wracał właśnie z polsko - szwedzkiej konferencji w Zamościu i oświadczył, że nie czuje do mnie bynajmniej żalu... za popełniony plagiat. Bo zdaniem jego tak, jak i w Zamościu, tak i pod Düsseldorfem Niderlandy były... międzynarodową koniecznością.

Z przemysłu cukrowniczego

Tegoroczna kampania cukrownicza zbliża się do końca, można więc już zobrazować jej przebieg.

Urodzaj buraków cukrowych był w roku bieżącym nierównomierny. Dobre plony zebrano w województwach poznańskim, pomorskim i w przylegających do nich rejonach, a słabsze w innych okręgach kraju. Dowóz buraków do cukrowni odbywał się przy sprzyjającej pogodzie.

Cukrowość buraków była również niejednolita. Najniższą polaryzację stwierdzono w burakach z rejonów małopolskich. Przebieg pracy kampanijnej był normalny, a wysładzanie buraków nie nastręczało specjalnych trudności.

Ogólna produkcja cukru w tegorocznej kampanii wyniesie nieco więcej niż 5.000.000 kwintali, z czego około 4.000.000 kwintali przeznaczonych jest na rynek krajowy, a około 1.000.000 kwintali zostanie wyeksportowanych.

Pomimo zwyżki kosztów robocizny oraz nowych ciężarów, wynikających z obowiązku pakowania cukru w worki lniane, które są o 90 procent droższe od worków jutowych, cena cukru na rynku wewnętrznym zostanie utrzymana na dotychczasowej wysokości. Fabryczna cena kryształu wynosi 51½ grosza, a po potrąceniu podatku obrotowego i kosztów bezpłatnie dodawanego worka, redukuje się do 48 groszy za kilogram. Wynosi zatem ona tyle, ile kosztuje kilogram dobrego chleba. Na różnicę detalicznej ceny cukru do wysokości 1 zł. za kilogram składa się przede wszystkim akcyza, a następnie przewóz, koszty kupiectwa i t. p. wydatki.

Z tytułu akcyzy od cukru wpłynie do Skarbu Państwa w bieżącym roku budżetowym około 145 milionów złotych, a łącznie z podatkiem obrotowym około 155 milionów złotych, co stanowi około 7 prc. gólnego budżetu Państwa roku bieżącego.

Ceny pobocznych produktów przemysłu cukrowniczego, a mianowicie melasu i wysłodków utrzymane zostały również w zeszłorocznych wysokościach. pomimo, iż z powodu nieurodzaju pasz zielonych, ceny innych karm dla zwierząt gospodarskich bardzo silnie zwyżkują w ostatnim czasie.

Tragiczna śmierć
podczas kradzieży węgla

220 m. od stacji Żychlin, pow. kutnowskiego, przy torze kolejowym znaleziono trupa mężczyzny z raną postrzałową klatki piersiowej. Ze znalezionych dokumentów okazało się że jest to Władysław Majewski, lat 20, zamieszkały w Kutnie przy ul. Orlej nr. 9. Wszczęte dochodzenie ustaliło, że Majewski został zastrzelony przez strażnika ochrony kolejowej w chwili gdy usiłował skraść węgiel.

Poznań w czasie świąt

TEATRY

TEATR POLSKI: W piątek nieczynny.

Sobota 25. 12. o godz. 16: Bęben", o godz. 20: „Ożenek".

TEATR WIELKI: Sobota o godz. 20: „Domek trzech dziewcząt". Niedziela o godz. 15: „Wieczna tęsknota". Ceny popularne. O godz. 20: „Holender tułacz". Poniedziałek — „Ijola".

KINA

APOLLO: „Zabronione szczęście".
CORSO: „Generał Sutter".
GLORIA: „Daj mi twe serce".
GWIAZDA: „Znachor".
METROPOLIS: „Niewidzialne małżeństwo".
OŚWIATOWE T.C.L.: „Broadway Bill".
RENAISSANCE: „Ostatnia noc skazańca".
SŁOŃCE: „Trójka hultajska".
SFINKS: „Zakochane kobiety".
ŚWIT: „Tarzan i zielona bogini".
TĘCZA-Łazarz: „Rose-Marie".
TĘCZA-Wilda: „Napiętnowana".
WILSONA: „Miasto Anatol".

KINA I TEATRY W BYDGOSZCZY

TEATR MIEJSKI: w piątek przedstawienie zawieszone. W sobotę: o g. 16 „Panna Coctail", o godz. 20. „Polskie wesele". W niedzielę o godz. 16 „Źródło miłości", o godz. 20 „Jadzia" wdowa" (premiera). W poniedziałek „Jadzia wdowa". We wtorek: „Panna Coctail".

KINA W BYDGOSZCZY
APOLLO: „Mały czarodziej".
BAŁTYK: „Jego wielka miłość".
KRISTAL: „Ty co w Ostrej świecisz Bramie".
MARYSIEŃKA: „Poświęcenie".
KAPITOL: „Kwiat Hawai".

„Gazeta Rolnicza"

Rok założ.. 1861. Tygodnik ilustrow., pośw. technice produkcji i obronie jej gospodarczych interesów, pod red. D-ra **Jana Lutosławskiego.** Cena 15 zł. kwartalnie, kwartał próbny 10 zł. Adres: ul. Kopernika Nr. 30 w Warszawie.

Zeszyty okazowe na żądanie: Nr. 50 (56 stron) zawiera m. in. artykuły Red. D-ra J. Lutosławskiego „O katolicką politykę agrarną", Z. Siemiątkowskiej „Rok pracy w świetlicy folwarcznej", Inż. J. Dłużewskiego „Co ważniejsze — wymiar podatku czy produkcja?" (cel rachunkowości), Prof. K. Szulca „Okres weget. r. 1937 pod wzgl. meteorologicznym", Prof. R. Prawocheńskiego „Kożuchy z merynosów prekosów", Dr. J. Bormana „Opas bydła w Wielkopolsce", Arch. A. Bałabuszyńskiego „Rodzaje ścian w naszym budownictwie wiejskim". W odcinku: Z. Ciszewskiego „Koloniści Kresów wsch." i W. Lindemanna „Zwycięstwo Polski na Olimpiadzie Myśliwskiej świata". W spostrz. i głosach z prakt. M. Kiniorskiego „Wpływ pory przerywki buraków na plon" i in. W każdym zeszycie obficie zaopatrzone zwykłe rubryki pisma: Z towarzystw i instytucji roln., Przegląd piśmiennictwa, Doradztwo prawno - ekonom., Poradnik gospodarski, Kronika, Przegląd rynków roln. i sprawozdania targowe.

Strajki okupacyjne
wybuchły we Lwowie

We Lwowie zanotowano dwa strajki. Akcja strajkowa objęła m. in. urzędników lwowskiego banku pod nazwą „Centralny Bank Spółdzielczy", którzy domagają się podwyżki płac. Jednocześnie ogłosiło strajk okupacyjny 80 urzędników i robotników introligatorni, zatrudnionych w zakładzie graficznym Jaegera. Podjęte zostały rokowania dla zlikwidowania strajku.

Spłonęła fabryka „Goplana"
w Poznaniu

W fabryce czekolady „Goplana" w Poznaniu wybuchł w nocy groźny pożar. Powstał on z niewiadomych powodów w drewnianym garażu. Wkrótce cały garaż stanął w płomieniach, po czym ogień przerzucił się na sąsiedni gmach, który jednak zdołano uratować dzięki wysiłkom straży pożarnej. Garaż spłonął doszczętnie, a wraz z nim 5 samochodów, w tym 2 osobowe. Szkody wynoszą około 30.000 zł

Delegacja kolejowców
W obronie pracowników sezonowych
w Min. Komunikacji

W Ministerstwie Komunikacji gościła delegacja Zjednoczenia kolejowców polskich w sprawie najistotniejszych bolączek pracowniczych.

Wśród szeregu poruszonych spraw zwrócono uwagę na sprawę premii dla rewidentów wagonów, przyznania dodatku lokalnego dla Pruszkowa, premii w parowozowniach i warsztatach pomocniczych.

Najbardziej podkreślona została sprawa ciągłości pracy pracowników sezonowych. Jak delegacja stwierdziła, kolejowi pracownicy sezonowi najbardziej ucierpieli przy ostatnich redukcjach, gdyż grupa ich dotknięta została najliczniejszymi wymówieniami.

Wędrówki po przemyśle chemicznym

Przemysł chemiczny, jedna z najważniejszych komórek w życiu gospodarczym każdego narodu, coraz bardziej u nas w Polsce się rozwija. Odgrywa to doniosłą rolę zarówno w czasie pokoju, jak i podczas wojny. Niesłychanie ważną rzeczą jest, by przemysł chemiczny znajdował się w rękach polskich.

Fabryka chemiczna „Pharmedia", pod generalną dyrekcją współwłaściciela firmy p. Archichowskiej, obrała sobie za cel wytwarzanie najbardziej wartościowych związków chemicznych i specyfików. Jedną z tajemnic jakości preparatów „Pharmedii" i ich niskiej ceny jest sposób produkcji, postawiony na wysokim poziomie.

W dole za Belwederem, przy ul. Chełmskiej 52, w czyściutko utrzymanych salach wre pierwszorzędnie zorganizowana praca, pod kierownictwem wybitnego fachowca Magistra Z. Wiśniewskiego, nad wytwarzaniem broni przeciwchorobowej. Oglądamy najpierw serce i mózg fabryki — LABORATORIUM. — Całe szeregi słojów, próbówek, ampułek, aparatów najmisterniejszych, wag najczulszych i t. d. Tu odbywają się doświadczenia, żmudne, uciążliwe, wymagające olbrzymiej wiedzy fachowej i cierpliwości. Tu odbywa się również kontrola wyprodukowanych preparatów, gdyż każda seria preparatu musi być kontrolowana, by w stuprocentowej pewności puszczać ją w świat na usługi ludzi w walce z chorobami. Teraz przechodzimy z kolei do dużej, widnej sali, zwanej FASOWNIĄ. Zwraca moją uwagę przedziwny aparat z mnóstwem podłużnych przegródek, biegnących wzdłuż pochyłej powierzchni; to t. zw. VELOSTAT — najnowszy aparat eletkryczny, który samoczynnie odlicza odpowiednią ilość tabletek i napełnia rurki szklane. Obsługa aparatu — jedna osoba, cel — higieniczny sposób pakowania, bez dotyku rąk. Praca odbywa się szybko, sprawnie, w bezwzględnej ciszy.

A teraz SALA FABRYCZNA. Tu już szum motorów zagłusza rozmowę. Interesuje mnie sposób produkcji preparatów. Uwagę moją zwraca chromoniklowe mieszadło mechaniczne o ruchu planetarnym. Tu wsypuje się surowce i tu następują reakcje chemiczne. Półfabrykaty przechodzą stąd do specjalnych elektrycznych suszarni, zaopatrzonych w pompę wysokopróżniową, następnie do młyna porcelanowego lub kulowego, gdzie następuje proszkowanie na subtelny proszek. Suszarnie zaopatrzone są w automatyczne termoregulatory. Wystarczy nastawić na żądaną temperaturę, widoczną na termometrach, by już przez cały czas suszenia termoregulator swą temperaturę utrzymywał.

Maszyna do wyrobu tabletek wytłacza około stu kg tabletek w ciągu 8 godzin. Dla nadania tabletkom odpowiedniego kształtu wstawia się w maszynę do wyrobu tualetek odpowiednie matryce. Zaś specjalny wirujący miedziany kocioł służy do drażowania tabletek.

W innych salach wytwarza się roztwory. Oglądam następnie ampułkarnię, która pod względem czystości przypomina swym wyglądem salę operacyjną.

„Pharmedia" bardzo często bezinteresownie zaopatruje instytucje dobroczynne, pozostające pod stałą opieką lekarzy, w leki swego wyrobu.

Jeszcze raz robię w pamięci przegląd wzorowo urządzonej fabryki i, życząc właścicielowi dalszego rozwoju fabryki, odjeżdżam wzmocniony na duchu, że polskimi rękami i mózgami wytwarzamy wartościowe, przez lekarzy uznane za pierwszorzędne, — preparaty.

małe abc

W tę noc Narodzenia...

W tę noc Narodzenia każde stworzenie rozumie człowieczą mowę. Kto bezgrzeszny temu i odpowiedzą. Próbowali, czy to prawda Witek i Józka, a opisał to wielki pisarz Reymont:

...Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli do obory.

Trzymając się za ręce i dygocąc ze strachu, a żegnając się raz po raz, wsunęli się do obory, pomiędzy krowy.

Przyklęknęli przy największej, jakby przy matce całej obory. Tchu im brakowało, dusze się trzęsły, łzy nabiegały do oczu, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula! Siwula!

Nie odrzekła ni słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała gębulą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklękli przy drugiej, i znowu Witek zapytał, ale z płaczem prawie:

— Łaciata! Łaciata!

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamarłym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grześniśmy pewnie, to nie usłyszymy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda, Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne, mój Jezus... prawda... jušci, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... a i te... — nie mógł mówięcej, płacz go chwycił, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i tak płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje — a grzechy wszystkie...

W sklepie z zabawkami



W sklepie z zabawkami przedświąteczny tydzień był ogromnie ruchliwy. Rodzice, dziadkowie, wujkowie, ciocie kupowali moc prezentów dla grzecznych dzieci.

W wigilię sklep zamknięto wcześniej niż zwykle i wszystkie laleczki, misie, małpki ,kotki i pieski zabierały się do snu, gdy w tym rozległo się ciężkie westchnienie i głos.

— Ach, jakie nudy i w dodatku ostatnia nadzieja stracona. Dziś gwiazdka, a ja wciąż jeszcze siedzę w sklepie. — To miś brązowy z wystawy biadał tak smętnie.

Wszystkie zabawki w sklepie poruszyły się i odezwały, jak gdyby te słowa były hasłem do dalszych wyrzekań.

— Misiu kochany nie narzekaj — wołała lalka — przecież ty siedzisz na wystawie, możesz spoglądać na to co się dzieje na ulicy, a nawet widzisz zachwycone miny dzieci zatrzymujących się przed sklepem, a ja nieszczęsna już pół roku leżę w pudełku na półce. Nadeszła zima, marznę w letniej sukience i naprózno marzę o dobrej i troskliwej mamusi.

— Okropna płaksa z ciebie — wyśmiewały się małpki, kołyszące się na huśtawce.

— Głuptasy jesteście — zgromił ją trębacz w ślicznym kolorowym mundurze — my zawsze tęsknimy do towarzystwa dzieci i marzymy o tym, ażeby znaleźć się w ich rękach i sprawić im radość. Ileż to bitew mógłbym dotąd wygrać, maszerując razem z ołowianym wojskiem! — I pełen wojennego zapału zaczął wygrywać na swej lśniącej trąbce. Na głos pobudki, jak na zaklęcie porwali się wszyscy ołowiani żołnierze, wołając:

— Dość już utyskiwań, dość czekania, wstawajcie lalki i wszystkie zwierzęta! Musimy działać, radźmy, jak wydostać się stąd do dzieci.

Na to wezwanie nieopisany zgiełk powstał w sklepie.

Z pudełek wyskakiwały łowiczanki krakowianki — Zosie, Małgosie. Ześlizgiwały się z półek, i ustawiały grzecznie parami pośrodku sklepu.

Naguski, niemowlęta usiłowały biec za nimi na swych krótkich, krzywych nóżkach, lub poprostu na czworakach. Konie na biegunach rżały z zadowolenia, a misie, pieski, kotki skazały z piskiem z wystaw, i nawet małpki pomyślały, że może im się znudzić huśtawka i hops... fiknęły w gromadę lalek, robiąc ogromne zamieszanie.

A właśnie lalki szykowały się przezornie do drogi. Pożyczały sobie szaliki i żakiety, a te, które nie miały zupełnie ciepłych ubrań owijały się poprostu w koce i kołderki wyciągnięte z łóżeczek i wózków stojących wzdłóż lady.

Łowiczanka, która marzyła o tym, aby być lalczyną nianią, zapakowała wszystkie niemowlęta do największego wózka i okryła ciepło.

Zwierzątka nie troszczyły się o ubranie, przecież miały ciepłe futerka.

Tymczasem ołowiani żołnierze radzili, co robić dalej

— Fiuuu — gwizdała lokomotywa, — jedźcie wszyscy koleją, nudzę się śmiertelnie, mogłabym już cały świat objechać ze trzy razy dookoła, gdyby nie trzymano mnie w sklepie tyle miesięcy.

— Najlepiej wybić szyby i wyskoczyć oknem — radziły zawsze lekkomyślne małpki.

— Cicho łuptaski — strofowały je in zwierzęta — przecież musimy wyjść niepostrzeżenie.

— Zaszczekam, może kto usłyszy i otworzy — medytował biały kudłaty pudel.

— Och, pocóż tyle namysłów— dowodziła boża krówka — przecież możemy wyjść dziurką od klucza.

— Ha! ha! ha! — śmiały się lalki — tylko ty jesteś taka maleńka.

Radzili wszyscy, radzili i nic nie mogli wymyślić.

— Niech się słonie martwią — próbowały żartować misie.

— Co? — ozwał się gruby głos — kto tu o mnie wspomina?

— O! o! o! — rozległ się powszechny okrzyk, bo oto z najciemniejszego kąta wysunął się zaspany słoń i machnął trąbą na powitanie.

— Misie miały słuszność, ja wam poradzę. Stoję zawsze koło tych oto drzwi i widzę, że tędy nieraz wnoszą paczki z zabawkami. Drzwi te prowadzą na schody, wiodące do mieszkań dzieci. Dosięgnę trąbą i do klucza i do klamki, o patrzcie, trach, trach... i droga otwarta.

— Fiuuuu — gwizdnęła lokomotywa i jak szalona wyjechała ze sklepu. Za nią bez namysłu cwałem ruszyły konie, a za końmi w podrygach, susach, skokach wszystkie zwierzęta.

Później, przy dźwiękach trąbki wymaszerowali ołowiani żołnierze, a dopiero na końcu pochodu parami, grzecznie i przykładnie sunęły laleczki z wózkiem pełnym niemowląt.

Nawet piłki nie wytrzymały i potoczyły się w podskokach.

Cicho i pusto zrobiło się w sklepie, tylko, duży zegar gadał monotonnie swoje — tik-tak, tik-tak po-szli, po-szli... chyba dotrą do dzieci.

J. W.

Choinka

Zabawkami obwieszona
choinka świerkowa,
Stoi dumnie pośród dzieci
Na gałązkach wiszą cacka,
cukrowe laleczki,
Bombonierki i pierniczki,
kolorowe świeczki...
Na przedzie Mikołaj święty
od śniegu się bieli.
Podtrzymują go, staruszka,
skrzydlaci anieli.
Z boku pajac z dzwoneczkami
zabawnie się kiwa,
Obok niego wielka lalka
patrzy się jak żywa.
Kominiarczyk na wstążeczce
z miotłą i drabinką
Cały czarny straszy wszystkich
zasmoloną minką.
A na samym szczycie drzewka
gwiazdeczka się świeci,
I raduje swoim blaskiem
serca małych dzieci,
Bo ta gwiazdka jest zwiastunką
cudu nad cudami,
Że się Chrystus dziś narodził
i przebywa z nami.

R. P.

KOLĘDA



Przyleciały wróbelki
do Panny Zbawicielki,
Przyleciały ptaszyny
do Najświętszej dzieciny.

Niosą piór odrobinkę
Na Jezusa pierzynkę,
najśliczniejsze z gwiazd puszki
Na Dzieciątka poduszki.

Wszystkie wokół się zbiegły
i świergocą bez przerwy,
aż przy dźwiękach piosenki
zasnął Jezus maleńki.

...Cicho, dosyć świergotów,
bo obudzić się gotów.

J. KUNICKA.





Jak Jezusek wędrował do Polski

Martwił się Jezusek-Dziecię, że tak mroźno jest na świecie. Jak przez zaśnieżone wioski, dojedzie do dzieci — do Polski? Jak go Matka Najświętszą zaniesie przez zawiane drogi i zamiecie? Ach, jakże go zaniesie na ręce w pieluszeczkach i cienkiej sukience?

Święty Józef też darmo się biedzi, jak to mały Pan Jezus pojedzie. Zaskrzypiały wrota stajenki, wsunął łebek baranek maleńki, śnieżnobiały, śliczny baranek, zaprzężony do małych sanek. Na saneczkach świerczek zielony, by Jezusa od wiatru osłonić. Na nim świeczki, jak gwiazdki się jarzą, one drogę w noc ciemną pokażą.

Leżą futra i większe i mniejsze, o — nie zmarznie Dzieciątko Najświętsze. Chociaż droga długo i daleka, niech Najświętsza Panienka nie zwleka. Nic się złego Dzieciątku nie stanie — jak kołyska wygodne są sanie.

Jedzie, jedzie Najświętsza Dziecinka, nad nią świeci zielona choinka.

Dowiedziały się ptaszęta małe, te co u nas na zimę zostały i śpiewają po drodze, hen — wszędy, najskoczniejsze, najmilsze kolendy. Szare wróble — ochoczo, bez przestanku świergocą — przyleciały gdzieś z klatki dwa żółciutkie kanarki. Ach — śpiewały, śpiewały — świat zasłuchał się cały. Aż pytały się drzewa: — Kto to? Kto to tak śpiewa?

Zaszumiały sosny, ten na przedzie — że Dzieciątko Boże do nas jedzie. Wicher cupnął pod sosną i mruczy, że Dzieciątku przecież nie dokuczy, i tam tylko, gdzie zawiało zanadto — śnieg ubije, żeby było gładko.

Zajechało Dzieciąteczko do stajenki starej — pójdźcie dzieci, pójdźcie wszystkie, złożymy mu dary.

Janina Kunicka.

Przygoda Romka

Romek był właściwie nawet dość grzecznym chłopcem. Uczył się dobrze, pisał jak na swój wiek bardzo dobrze, lubił czytać... miał tylko jedną wadę. Był, jak żywe srebro — chwilki nie ustał ani nie usiedział na miejscu, starszym ciągle przeszkadzał i zajmował ich swoją osobą, a najgorsze było to, że lubił z nienacka krzyknąć co sił w płucach było. Jak dziki z lasu. I cieszył się, gdy kogoś przestraszył.

— Zobaczysz — mówiła mu mamusia — jeszcze kiedyś pożałujesz, że jesteś taki krzykliwy.

W dzień ubierania choinki, Romusia aż roznosiło. Dobre jego serduszko cieszyło się, że młodszy braciszek taką cudną choinkę zobaczy, a że lubił krzyczeć, zapomniał z radości, iż męczy tym i tak już zmęczoną mamusię i używał co miał sił.

Jak fryga kręcił się wszędzie, to złapał w pędzie krzesło i pociągnął nim przez pół pokoju, to ślizgał się po podłodze, zagrażając wszystkim meblom, to znowu braciszka wywrócił na tapczan i pobiegł gdzie indziej psocić. Wreszcie zmęczony, wydawszy ostatni dziki okrzyk, przysiadł na chwilkę i przypatrywał się jak chwieje się aniołek przyczepiony przez mamusię na samym szczycie wysokiej choinki.

Nagle — skamieniał cały, ręce i nogi mu stężały i głową nie mógł ruszyć ani oczu od choinki odwrócić. W pokoju zrobiło się dziwnie straszno i cicho. Musiał patrzeć ciągle na tego aniołka. tak że nawet mamusi już przy choince nie widział.

Coś strasznego się dzieje z tym aniołkiem. Po ostatnim okrzyku Romka najwyraźniej zamknął oczy. A w chwilę później, skoro je otworzył, popatrzył na Romka ze smutkiem i wyrzutem, i nawet uśmiech zniknął z jego wesołej przedtem buzi.

W tej samej chwili. — O Boże! w Romku serce zamarło — aniołek wciąż patrząc smutnie na niego, poruszył lekko skrzydłami i wyraźnie sunie w powietrzu ku oknu... i przez okno...

A za aniołkiem — to okropne! — Romek chce krzyknąć i nie może — za aniołkiem leci cicho gwiazdka betleemska i tylko ogon migocąc złociście sunie się za nią smugą. Oderwały się wszystkie motylki od gałązek i lecą w gromadzie ku oknu, siwobrody Mikołaj w infule kroczy z powagą i smutkiem i ciągnie za sobą wszystkie, cudowne, kolorowe, jak tęcza, szklane kule. Dalej suną w smutnym orszaku pajac w spiczastej czapce, z rękoma pełnymi tych ślicznych i pysznych cukierków w kolorowych papierkach; świeczki, jabłka i pomarańcze, jak zbity tłum, oplątany łańcuchami, spieszy za tamtymi i znika. Żal straszny ścisnął serce Romusia, choinka stoi przed nim biedna, ogołocona, ciemna i smutna. Wszystko poszło, nawet i łańcuchy, w które on tyle pracy włożył.

Patrzy w okno, że może coś jeszcze zobaczy — nic, ciemny wieczór za szybami stoi. Patrzy na choinkę może mu się zdawało, nie — smutna i obdarta jest. Oczy pieką, łzy płyną po policzkach i nie tego mu już nawet żal, że te wszystkie cuda zniknęły, jak tego, że tak bardzo widać nastraszył tego aniołka i...

Ach te łzy... chce je obetrzeć i nagle uderzył o coś twardego boleśnie ręką.

Otarł oczy — spojrzał i...

— Och! mój Boże! — westchnął znowu, ale z ulgą — **to był tylko sen.**

Wszyscy się dziwili — i nikt nie wiedział — dlaczego od tego wieczoru Romek zaniechał swych ulubionych dotąd, dzikich krzyków.

Ciocia Jana.

WIGILIA

Choinka się światłami jarzy,
opłatek w rękach mamy drży,
zgadłbyś w tej chwili z wszystkich twarzy
że baśń tę samą każdy śni.
Mrok, tylko się świeczki na choince palą
i słychać życzeń słowa gorące, serdeczne...
Oczy ojca się mienią rozczulenia stalą.
Wigilia, święto śnieżne i odwieczne...
W białą, cichą noc śnieżną
w tę biel, skrzącą gwiazdami,
słowa kolend pobiegną.
O! jak dobrze tu z wami.
Czasem słowa kolendy
płacz radości zagłuszy
i popłynie w noc srebrzystą
kędy biały śnieg prószy...

NI-KA.

O Krzysiu i Alince
i o Puku miłej psince

Alinka i Krzyś mieli psa Puka. Ten Puk to nie był taki zupełnie zwyczajny, o nie — miał to być bardzo rasowy piesek, ale wyrósł trochę na kundelka.

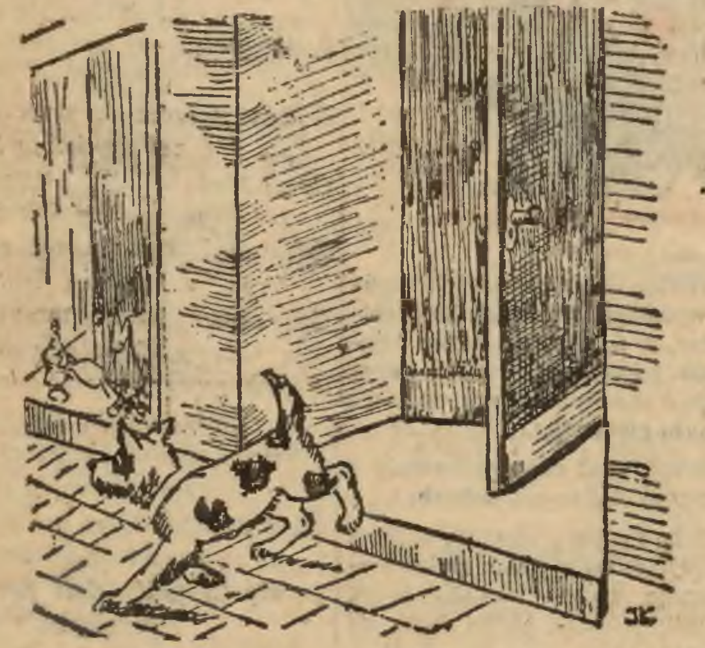
Najważniejsze było to, że Puk wcale się tym nie przejmował i na wszystkie krytyki odpowiadał niezmiennie:

„To nieprawda, hau-hau-hau,
gdy wyrosnę — śliczny łebek będę miał".

A potem, żeby zwrócić uwagę na swe zalety, poszczekiwał:

„Patrzcie wszyscy, ham, ham, ha,
jaki piękny ogon mam!"

Zresztą był to naprawdę miły i wesoły piesek i dzieci kochały go bardzo. Ale nikt nie wiedział, że Puk miał jedno skryte marzenie — chciał sam wydostać się na ulicę i pobiec, gdzie nogi poniosą. Skorzystał tedy z pierwszej okazji, wysunął przez uchylone drzwi najpierw łebek, potem brzuszek, a wreszcie ogonek i... poszedł.



A tymczasem Krzyś, chcąc mu dać drugie śniadanie, szukał go po całym domu, aż wreszcie zrozpaczony zawołał: — „Idę go szukać", i wybiegł z mieszkania. Krzyś był bardzo małym chłopcem i nigdy dotąd bez starszych nie wychodził na ulicę.

Ach, jakże inaczej wyglądała, gdy sam znalazł się przed domem.

Tuż na prawo rozciągało się wspaniałe królestwo słodyczy: czekoladowe misie, króliki, pieski, kotki, kurki i laleczki uśmiechały się i piszczały, miauczały, gdakały:

„Czego szukasz Krzysiu?
Wstąpże do nas dzisiaj,
zjesz pyszne drugie śniadanie.
Pukowi nic się nie stanie".

Ale Krzyś zwalczył mężnie pokusę i poszedł na lewo. Tuż za rogiem stanął zdumiony. — Co to? Jaskinia czerwonego smoka... a czerwony smok stoi, sapie, warczy, ryczy i ledwie zobaczył Krzysia, woła:

„Jestem autobus-smok,
uważajcie, och! och! och!
Jaki z ciebie, Krzysiu, zuch!
Uch! uch! uch! uch! uch! uch!
Po ulicy tu i tam,
chodzisz tak zupełnie sam?
Już wyruszam w swą drogę,
szukać Puka pomogę".

Żżż... wrrr... Pojechał z trzaskiem, a Krzyś nie ochłonął jeszcze ze zdumienia, gdy już dzwonił nań tramwaj:

„Mój chłopczyku, mój miły chłopczyku,
chodzić można tylko po chodniku".

A tymczasem na przeciwnej stronie ulicy zbiegły się tłumnie taksówki i pytają:

„U-u-u, uf, uf, uf,
czego szukasz Krzysiu, mów".

A gdy dowiedziały się, że chodzi o Puka, trąbki samochodowe zaczęły ujadać zupełnie, jak pieski:

„Hau! hau! hau! hau! hau! hau!
gdzie ten Puk się podział?"

Uczynne latarnie pochyliły zaraz swoje duże, na cienkach szyjkach zawieszone głowy i zapewniały:

„Choć wisimy wysoko,
lecz mamy dobre oko.
Niechaj Krzyś sam nie szuka,
odnajdziemy mu Puka".

A wszystkie kamienice, mrużąc w słońcu szklane szybki swych oczu, dopytywały się ciekawie:

„Co się stało, co stało?
Tak nam dobrze w słoneczku się spało".

A wtem wrócił z podróży smok czerwony i ryczy na całe gardło:



— Oto sztuka znaleźć Puka — i czerwonym, ogromnym łapskiem wskazuje na bramę Krzysiowego domu.

Spojrzał Krzyś — stoi Puk i kręci niepewnie ogonkiem. Wie dobrze, że przeskrobał mocno.

CIOTKA JOTKA.

Do naszych Czytelników

Dalszy ciąg historii o Pierniczkach, której część pierwsza ukazała się w mikołajowym numerze małego ABC — dostaną nasi kochani czytelnicy w następnym noworocznym numerze. Będzie tam też ślicznie opisane przez p. J. Wyszyńskiego — jak Janek, 11-letni harcerz sprawił wigilię żołnierzykom w okopach — i wiele jeszcze innych historii i obrazków ślicznych i bardzo zajmujących. Będzie podane rozwiązanie rebusu i logogryfu.

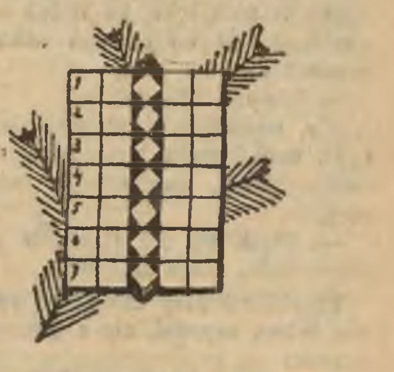
Dziękujemy za miłe liściki i prosimy o dalsze



Zgadujcie Dzieci
Logogryf

Znaczenie wyrazów:

1. Ptak używany dawniej do polowań. l. pojed.
2. Przyrząd do rzucania kamieniami, l. pojed.
3. Posiada róża i kaktusy — l. mn.
4. Odpadają przy młóceniu zboża liczba mnoga.
5. Inaczej mocny sznur.
6. Imię własne męskie w zdrobnieniu.
7. Wprawia się w okna dla bezpieczeństwa, l. pojed.



Rebus





Wigilia w Brazylii

Dziwny kraj — ta Brazylia. Na mapie niczym tak bardzo się nie różni i od innych krajów. Ziemia, góry, morze, rzeki — wszystko tak samo jest zaznaczone, jak na innych częściach ziemi, i wcale z tego nie widać, że tam jest wszystko odwrotnie, jak u nas. Grudzień jest właśnie w lecie i największe wtedy upały, a czerwiec to tam zima. Ale nie taka zima, jak u nas. O śniegu naturalnie nie ma mowy, tylko tyle, że jest mniej gorąco, jak w lecie i częściej deszcz pada. Nawet księżyc inaczej tam wygląda, bo w czasie pełni jest właśnie spłaszczony z jednej strony — odwrotnie, jak u nas. Z językiem też tam jest dziwnie — w Polsce mówi się po polsku — a w Brazylii nie po brazylijsku, tylko po portugalsku albo po hiszpańsku.

W gorący, grudniowy, wigilijny wieczór — wracał do swojej ranczy — do domu, Huan Domingo z dziesięcio letnim synkiem Estebanem. Byli na wilii urządzonej wspólnie, z innymi sąsiadami w dużej izbie przy szkole. Wilia była wspólna z tej okazji, że do jednego z sąsiadów przyjechał krewny z Polski. Huan Domingo, był też Polakiem i nazywał się w swojej wsi Jan Niedziela — co tu przetłumaczono na język portugalski, a synek jego też nazywał się naprawdę Stefan, a nie Esteban.

Dziesięć lat temu przyjechał Jan Niedziela do Brazylii, do stanu Parana z żoną i rocznym synkiem. Ziemia tu była tania, można jej było dużo kupić za nie duże pieniądze. Tylko jaka to była ziemia? Las i las, matto po brazylijsku splątany, gęsty, nie do przebycia. Trzeba go było deribować — wycinać. Kosztowało to trudu — kosztowało! Siekierą ani piłą tu się tego nie robi, bo piniory — podobne do naszych sosen, imbu — i inne drzewa są tak twarde, że się każda siekiera na nich wyszczerbi. Cały zaś ten las jest tak obrośnięty i oplątany wijącymi się i strasznie mocnymi lianami, że do pni nie można dotrzeć. Więc wycina się tylko gałęzie, mniejsze zarośla i liany foissą — taką małą, ostrą kosą na pionowo osadzoną i fakonem — podobnym do noża harcerskiego, a potem resztę pni podpala się.

Droga od szkoły do domu Dominga była długa, miał więc czas wspominać sobie te trudy pierwszych lat po przyjeździe, jak to często robił. Ale dziś zaraz przyplątały się inne wspomnienia.

Bartłomiej Chowaniec przypomniał mu inne wilie.

Sianko pachnące pod lnianym obrusem, snop żyta, stojący w kącie, a za małym okienkiem chałupy pachnący mrozem, skrzący śnieg.

A ta wilia? — jakaż to wilia była? Ryba—oczywiście, bo tu się i tak prawie innego mięsa nie je — ale reszta? Pożal się Boże! Skończyło się na docze — słodyczach, owocach smażonych i popijaniu szimaronu — odwaru z herby maty.

— Hej — jak się to u nas synku jechało na pasterkę — wspomniał głośno Domingo — jak to skrzypiał mróz pod saniami!

— A jak to mróz skrzypi — co to właściwie jest mróz? — ździwił się Esteban.

W tej chwili dopiero zrozumiał ojciec, że mały jego syn — to jakby nie jego dziecko, bo nic nie rozumie z tego, co on czuje i wspomina.

Przez wszystkie lata ciężkiej pracy nie było na to czasu, aby opowiadać małemu dziecku o tym, jak to było w domu, w Polsce. Potem Esteban zaczął chodzić do szkoły. A że blisko nie było szkoły polskiej, więc czytać uczył się na elementarzu portugalskim i mówił coraz lepiej po portugalsku, a coraz gorzej po polsku. Czasem nawet nie bardzo rozumiał tego, co rodzice między soba mówili, a i oni sami częściej używali słów portugalskich.

Słów — śnieg i mróz — Esteban nie rozumiał, bo nie używano ich tam, gdzie nie ma śniegu, ani mrozu.

— I jak to wytłumaczyć, co śnieg i mróz takiemu smykowi, westchnął ojciec — co ani śniegu nie widział, ani mrozu nie poczuł?

I dopiero teraz zrozumiał, dlaczego mały Esteban nie cieszył się tak, jak oni kolędami, które wyśpiewywał i przypominał im krewniak sąsiada, co świeżo z Polski przyjechał.

Na wspomnienie kolęd tak mu się wesoło zrobiło, że huknął na cały głos: „W dzień Bożego Narodzenia" — wszystkie zwrotki, które mu się dzisiaj przypomniały. A Esteban usta otworzył ze zdumienia, że tyle nieznanych słów słyszy: słowik, szczygieł, szpak, gołąbek — i pytać chciał o ich znaczenie, ale ojciec i pytania żadnego nie słyszał, tylko śpiewał, a śpiewał:

„I żórawie w swoje nosy
wykrzykują pod niebiosy,
czajka w górę podlatuje
chwałę Panu wyśpiewuje.

Sroka wlazłszy na jodlinę
otarła sobie łysinę,
i choć gołe świeci czoło,
gwarzy jednak dość wesoło.
Kur na grzędzie krzyczy wszedzie:
— Wstańcie ludzie, bo dzień będzie;

Do Betleem pospieszajcie,
Boga w ciele...

Nie skończył ostatniego słowa, bo nagle mały Esteban z wielkim krzykiem skoczył ku niemu i zarzuciwszy mu ręce na szyję mocno podkurczył nogi ku górze.

— Żararaka — żararaka — powtarzał zdyszanym głosem.

Spojrzał ojciec i rzeczywiście na wąskiej „pikada" — ścieżce leżał zwinięty najjadowitszy z węży i spał. Na szczęście Estaban spostrzegł go na czas, a ojciec trzymając go na rękach obszedł węża naokoło — brodząc w wysokiej aż po piersi trawie.

Do domu było już niedaleko, więc przycisnął do piersi przestraszonego i zmęczonego chłopca i mruknął:

—U nas takich gadów i przez całe życie nie uwidzi.

— Ale za to — te jakieś szpaki, sroki i szczygły, tato — co? — spytał sennie, zmęczony Esteban.

— Tak, tak synku. — Tylko mi teraz nie zaśnij, bo dom już widać. Zejdź na ziemię, boby się matka śmiała, że taki duży chłopak na rękach do domu wędruje. Rzeczywiście widać już było światła w oknach, a liście drzew hebanowych przed domem rosnących — liście szerokie na pół metra i długie na metr błyszczały w tym świetle jak blacha.

Zaklaskał Domingo parę razy w ręce i zawołał po brazylijsku: O de kaza! — żeby im otworzono. Pokazała się w progu matka Estebana, trzymająca na rękach małą jego siostrzyczkę.

— No — gadajcież, jak tam było? — dopytywała się ciekawie, gdy weszli do pokoju i juz stawiała na stole posiłek, bo przecież taką daleką odbyli drogę. Ale Esteban — plątał tylko sennie o ptakach nieznanych, kolendach i wężu — nie spojrzał nawet na „zantar" — obiad, składający się z fiżonu — czarnej fasoli i ryby gotowanej z ryżem, tylko porwał jeden kartofel, ten rzadki tam i największy przysmak i poszedł spać.

Trzeba pamiętać, że upał tam nie zmiejsza się nawet w nocy — a grudzień to lato.

Huan Domingo westchnął ciężko, otarł pot z czoła i zamyślił się nad czymś głęboko i długo. Zrobiło się cicho, tylko muchy biły o siatki w oknach, a on myślał i myślał. Nareszcie widać coś popostanowił.

— Wiesz co matka — dosyć mam tego wszystkiego.

— Czego? — spytała przestraszona.

— No — wszystkiego, jedzenia, kraju i nawet nazwiska własnego. Wiesz ty, że Stefan to nie wie co to mróz, co sroka, szczygieł, co sanie? Jakże to tak ma być dalej? On nawet nie wie przecie, że ja Jan Niedziela, a ty Agata Niedzielaczka się nazywasz. To przecie jakby nie nasze dziecko było. No nie?

— No tak — po prawdzie tak — zatroskała się Janowa — ale jakże to zrobimy? Fazendę już taką dużą mamy — ziemi tyle i bydła?

— No to cóż? — Przyjechał Bartek Chowaniec — pieniądze przywiózł — zapłaci, a może doda jeszcze pole, co zostawił we wsi, w Polsce — obliczymy się — i jazda do domu! Dzis dopiero zrozumiałem, że Stefan rychłoby brazylianinem się zrobił, a on Polak przecie.

No i tak uradzili, że jak tylko mozna najrychlej wrócą do domu. A matka kładąc się spać pogłaskała główkę śpiącego synka i szepnęła z radością ową nowinę.

— Pojedziemy do domu synku, — do Polski pojedziemy.

— Tam nie uwidzi żararaka — matuś — co? — spytał tylko prawie przez sen Stefek Niedziela.

Maria Dołęga.

Karol Zbyszewski

Boże Narodzenie w Suchedniowie w 1275 r.

Dzielni rycerze Sławomira już od trzech dni oblegali zamek suchedniowski Bożyraja. Walili taranem w bramę z grubych bierwien dębowych, ciskali zapalone pakuły, strzelali z kuszy — nie mogli przemóc oporu. Suchedniowscy polewali ich wrzątkiem, zwalali im kamienie na głowy, gdy pod mur podeszli i urągali bez przerwy; krzyżowały się okrzyki:

— Bliżej chodźcie niezguły!

— To wy przestańcie siedzieć jak wrony na dachu i zejdźcie tu na udeptaną ziemię.



— Gołowładca wasz Bożyrój, jak pies ino za cudzym węszy!

— Holopupy Sławomira!

Zgrzytał zębami Bożyrój, bo znienacka z drużyną na zamek sąsiada napadł i spodziewał się zdobyć go za jednym zamachem. A tu bramę zastał przymkniętą, mury umocnione i załogę w komplecie. Chciał zamek na gwiazdkę żonie ofiarować — tymczasem przyjdzie się święta, jak żebracy najgorsi, na śniegu spędzić.

Zmierzch zapadał; Bożywój skrzyknął swych ludzi i z furią jeszcze raz na bramę natarli. Grzmotnął taran z taką siłą, że aż grube bale pękły, trzasły zawiasy, pod wściekłymi, uderzeniami siekier, runęły całe wierzeje. Skoczyła hurma bożywojowych rycerzy, już wdarli się pierwsi przez otwór, już mieli się zewrzeć z tamtymi gdy ksiądz suchedniowski wpadł między szeregi:

— Gwiazda na niebie! Stójcie! Już jest gwiazda!

Stanęli jak wryci. A i mnich benedyktyn towarzyszący Sławomirowi wołał:

— Racja, jest gwiazda! Oo, tam...

Zadarli wszyscy głowy. Juści migotała gwiazda na niebie. A dziś był grudzień, dzień wigilijny; nakaz kościoła wyraźny, iż w ten dzień święty wszystkie spory, kłótnie przy ukazaniu się pierwszej gwiazdy pod grozą klątwy na trzy dni muszą być ukończone. A że i sławomirowscy i bożywojowi ludzie dobrymi rycerzami - katolikami przecie byli, nie żadnymi poganami, więc poklękali wszyscy w śniegu i za księdzem znaki krzyża świętego czyniąc powtarzali:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha... I chórem odmawiali pacierze, co trwało blisko godzinę. — A teraz do kaplicy, bracia moi! — zadyrygował ksiądz, podziękować Panu Bogu, żeśmy do tego najszczęśliwszego dnia w roku dożyli...

Sławomir wystąpił:

— Wnijdźcie, rzekł do Bożywoja, raczcie być moimi gośćmi przez święta. Do domu wam daleko i utrudzeni jesteście...

Weszła cała drużyna; oblegający i oblegani pomieszani, społem tłoczyli się do kaplicy zamkowej. Jarzyły się już świece na ołtarzu, buchnęły w strop pieśni pobożne. Padali rycerze plackiem, krzyżem leżeli, bili się w piersi blachami przykryte, aż echo się rozchodziło.

Gdy się wszyscy namodlili do syta sławomirowi słudzy zaprowadzili obcych wojów do alkierzy, tu pozdejmowali z nich ciężkie zbroje, rany i siniaki opatrzyli, w czyste szaty przyobłekli. Bożywój wdział miękką, atłasową suknię — Sławomir oddał mu swą najpiękniejszą.

W długiej, przestronnej sali zebrali się na wieczerzę. Sławomir wziął opłatek i kolejno z każdym przełamywał się i całował. Ściskali się rycerze co przed paru godzinami jeszcze czyhali na swe życie i obejmując się za szyje mruczeli:

— Daj wam Boże!

— Obyście nigdy z pola pobici nie schodzili!

— Obyście zawsze swych wrogów przykładnie w pień wyrąbali!

Łzy rozczulenia kapały z oczu, dobrze, lekko było wszystkim na sercu. Cała niewieścia załoga Suchedniowa usługiwała do stołu. Piętrzyło się od makowych bułek, coraz nowe wnoszono ryby...

Ksiądz i mnich benedyktyn pierwsi wstali od stołu, rzekli: — nagrzeszyliście siła ostatnio mili bracia, trza Pana Boga co się w naszą niegodną postać przybiera godnie powitać. Chodźmy do kaplicy, a módlcie się gorąco!

Ruszyli wszyscy znowu przed ołtarz, i znowu czołem o posadzkę bili, głośno swe grzechy wyznawali i o odpuszczenie prosili. Bożywój i Sławomir służyli do pierwszej mszy księdzu, potem mnich drugą odprawił, już świtać poczynało, a w kaplicy wciąż klęczał rozmodlony tłum, spośród dymów kadzidła wciąż dochodziły chórem śpiewane litanie...

* * *

Zamek dygotał od śmiechów i wiwatów. Nie pamiętano w Suchedniowie tak wesołego i przyjemnego Bożego Narodzenia. Ale bo też nigdy nie było tylu gości; rycerze bożywojowi okazali się przednimi kompanami, nie dłużył się z nimi czas przy stole, o nie!

Gdy każdy wtroił po nóżce baraniej, po misce grochu ze schabem i po rynience sztuki mięsa z kapustą i tym pierwszy głód zaspokoił — zaczyna igraszki wesołe, a dowcipne.

Kto więcej jaj na twardo naraz weźmie do ust i połknie? Wygrał ogromny Powała, ale już myślano, że się udusi gdy szóste palcami na siłę wpychał. Ledwo go usłużnym grzmocemiem w kark sosnowym polanem uratowano.

Kto indyka pieczonego zręczniej w powietrzu tasakiem rozpłata? Co to było śmiechu, gdy niezgrabny młodzik chybił i ociekający tłuszczem indyk na kolana pięknej pani z przeciwka padał.

Kto prędzej łokieć suchej jak wiór, żylastej kiełbasy bez pomocy rąk, zeżre? Już już miał ktoś wygrać, gdy sąsiedzi za wystający kawałek kiełbasy chwyciwszy, innym wyrównać szanse dawali.

Lepiono też gałki z chleba i ciskno celnie paniom za gors, albo żarłokom w otwarte usta.

Ale najlepsza zabawa była na podwórzu. Rozścielono pod spichrzem słomę, przystawiono do dachu dwie drabiny; trzeba było wielki garniec mocnej wódki jednym haustem łyknąć, po drabinie na górę się wgramolić, dachem do drugiej przejść i nią na dół zejść. Tarzano się ze śmiechu, patrząc jak raz po raz ktoś z dachu w słomę nieprzytomny się walił.

Panny w taniec rycerzy ciągnęły, hasano ostro, aż oboje potem spływali, i cuchnęli tak, że inni za drzwi ich dla ochłody wypychali. Starsze matrony o zakład z rycerzami szły, kto więcej razy puknie i często wygrywały, bo gdy tamci na wojaczce byli, one w domu w ulubioną tę grę się wprawiały.

Dzień z nocą się plątał, bez wytchnienia w zabawie i ucztowaniu godziny płynęły. Odruchami już tylko do beczek puhary przystawiano, łano miody w oporne gardła. Wszyscy pokotem leżeli po izbach.

* * *



Ocknął się Sławomir i z trudem zmysły zebrawszy: — jaki to dziś dzień mamy? — zapytał.

— Wtorek, odpowiedział ksiądz, który za różańcem gdzieś zgubionym daremnie się rozglądał.

— Wtorek? He, wigilia była w piątek, więc sobota, niedziela, poniedziałek — to trzy dni. Dziś już zatem po świętach. A bywaj że tu, bywaj!

Spędził co trzeźwiejszych parobków, kazał im do gości się zabrać. Zdjęli z nieprzytomnych poplamione, pozażygane szaty do zamku należące, wcisnęli ich byle jak we własne kolczugi i zbroje, potem biorąc za nogi i ręce za mur, za bramę wyciągali i w śniegu rzędem ułożyli. Cisnęli im też wpobok tarcze, miecze, cały oręż, jaki z sobą mieli, bramę zatrzasnęli, poprawili, umocnili należycie.

Na mrozie przyszli do siebie Bożywój i jego drużyna. Zrozumieli: trzy dni upłynęło! Wszystko w porządku. Zamek stał naprzeciw po dawnemu głuchy i nieprzystępny. Z murów padały okrzyki:

— No co pijanice? Siły całkiem straciliście?

— Jeszcze na wykurzenie was marnych trutni starczy.

— Oj rozprujemy kałdun temu durnemu Bożywojowi!

— To my rozbijemy ten głupi łeb Sławomirowi!

— Tchórze, gołozadki!

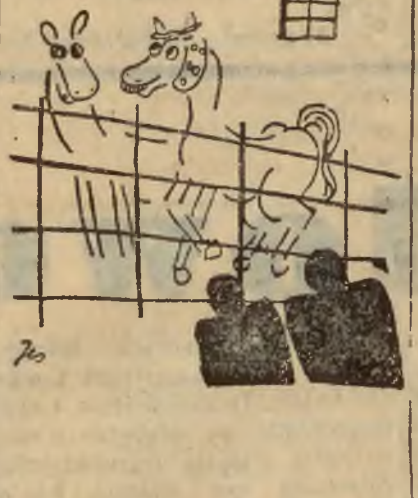
— Ciury, mierziwody!

Bożywój sformował swych rycerzy, rzucili się z siekierami do bramy, polała się z góry wrząca smoła, posypały głazy...

Stanisław Izydorczyk

Co widział płatek śniegu w żołnierskich koszarach

Padał śnieg. Zbłąkany płatek kołysząc się na wietrze długo wędrował przez powietrze, nie mógł się zdecydować, w którym miejscu spocząć na białym kobiercu, okrywającym ziemię. Aż wreszcie się zdecydował. Zobaczył zdaleka podłużne koszarowe budynki, a w jednym z nich szereg jarzących się światłami oblodowaciałych okien. Światła załamywały się na lodzie szyb malując się na gładkiej powierzchni



śniegu długimi pasmami żółto - różowego, ciepłego światła.

Płatek pokołował chwilę w powietrzu i łagodnie przylgnął do szyby i zajrzał ciekawie do wnętrza.

W wielkiej izbie rojno i gwarno. Wszyscy jej mieszkańcy tak bardzo podobni do siebie, jednakowo gładko wygolone głowy, jednakowo rumiane twarze o podobnych uśmiechach i błyszczących dziecinną radością oczach. Jednakowe na nich ubrania: zielony mundur zapięty pod szyję z granatową patką z przodu i srebrnym na niej wężykiem, te same cyfry pułku na naramiennikach, takimi samymi owijakami skrępowane nogi, jednakie wreszcie, grube, nabijane gwoździami buty, jak na wycieczkę w góry.

To żołnierze, którzy na święta nie mogli wyjechać do rodzinnych domów, aby w rodzinnym gronie spożyć wieczerzę wigilijną i podzielić się z najbliższymi opłatkiem; przygotowują własną wigilię, w gronie swych kolegów z pułku. Śmiech i gwar wypełnia wielką izbę - świetlicę.

— Władek, a tam pewnie twoja Maryśka dzisiaj przy wigilijnym opłatku z Józkiem się pocałuje, co?

— Nie bądź głupi, — obrusza się Władek, — może się dziesięć razy całować, a jak mnie zobaczy na urlopie w mundurze, to o wszystkich zapomni.

— Nie zapomni, nie zapomni, lepiejbyś na urlop swój karabin posłał, bo ma przystojniejszą lufę od ciebie.

W drugim końcu sali gromadka żołnierzy zajęta jest przystrajaniem pięknego, wielkiego, aż pod sufit, drzewka.

— Józiek, a tego porucznika to powieś niżej, pod generałem, bo to stosunek służbowy musi być.

— Jak służbowy, to gwiazda powinna wisieć pod samą choinką, bo to przecież podporucznik a na czubku buławy pana marszałka trzaby zatknąć.

— Głupi jesteś, przecie to jest betleemska gwiazda co królów do Najświęszej Stajenki prowadziła. To przecież ważniejsza, jak królowie, bo Dzieciątku Najświętszemu przez całą Nockę Jego Narodzenia świeciła.

Na środku sali zebrała się grupka golonych łbów, która oddaje się wspomnieniom.

— Chłopaki ,ale tam u nas na wsi to pięknie teraz, co? Bialutko wszędzie, jakby ktoś na te radosne święta specjalnie posprzątał i w śnieżną watę wszysto przyodział.. A po chałupach ludziska zebrali się przy stołach pięknie przyodzianych, z pachnącym sianem pod obrusem i z kluskami z makiem, pewnie nam dzisiaj dadzą.

— A po wilii — podchwytuje drugi — wszystkie ludzie ze wsi, i chłopy i baby, i dziewuchy i chłopaki, wszystko to na pasterkę. A jak ładnie wtedy w kościele, jakie śpiewanie. Ja tyż śpiewałem na chórze we wsi. Dzisiaj po kolacji pośpiwamy sobie, chłopaki, nie?

Przy samych drzwiach dwie golone głowy żołnierskie naradzają się, ucho w ucho.

— Franek, czy to aby prawda, że w wigilię to zwierzęta ze sobą gadają ludzkimi głosami?

— Może to i prawda, kto ich tam wie.

— Słuchaj, Franek — mówi z zapałem pierwszy. — Przy C. K. M-ach są konie, może byśmy się tak wybrali posłuchać, może będą coś gadać, bo takie żołnierskie konie to przecież mądrzejsze, niż wiejskie.

I dwie przykulone postacie,



owinięte w długie, aż do ziemi żołnierskie płaszcze, z wtulonymi na uszy rogatywkami, ukradkiem skradają się do stajni, aby tam w ukryciu za pachnącym żłobem, słuchać czy mądre żołnierskie konie będą rozmawiały.

A w ciepłej, wielkiej izbie, przy rozżarzonej świeczkami choince gromada żołnierskich głosów rozpoczyna pierwszą kolendę. Potężne „Bóg się rodzi" wstrząsa całą izbą, wylatuje przez zamarznięte szyby i gna poprzez białe pola daleko, daleko, aż do małej wiejskiej izdebki, gdzie taką samą pieśń rozpoczęła zgromadzona przy stole rodzina.

I wówczas ostatni płatek śniegu z dalekiej gdzieś wioski, uparcie krążąc z wiatrem, przyleciał do długich koszarowych budynków i usiadł też na szybie i krzyknął z całej siły, dzielącym się opłatkiem żołnierzom:

— Wesołych Świąt przynoszę wam z waszej wioski.

Żołnierz nie płacze nigdy, ani wtedy gdy jest smutny, ani wtedy gdy cieszy się ogromnie. Z różowej świeczki na choince skapnęła ciężka łza stearyny, a na niebie zabłysła pierwsza jasna gwiazda, ta same co w Betleemie, taka sama nad koszarowymi budynkami, jak i nad otuloną w śnieg wioską.

Maria Rutkowska
Rozmowa w Pałacu Blanka



Po szerokich schodach, zasłaniych czerwonym dywanem, bardzo wytworny i mniej wytworny tłum spłynął z sal Ratuszowych w otwarte gościnnie podwoje pałacu Blanka.

Salki czekały na przybywających w uśmiechu swych odrestaurowanych wdzięków i w ponętach majonezów, suto zastawionych na stole, widocznym odrazu przy wejściu, jako dobra zapowiedź wieczoru.

Tłum asystujący przed chwilą komisarycznemu prezydentowi i laureatom Warszawy w podniosłym obrządku wręczenia nagród i uroczystych przemówień, zrzucił ze siebie niepotrzebny już balast skupionego milczenia i rozprószył się w gwarze po apartamentach, szukając na mahoniowych stolikach przede wszystkim — dobrych papierosów.

„Ich czworo": zdobyłam dla siebie wszystkich odrazu. Na filigranowej kanapce po 2-ch stronach filigranowej Kuncewiczowej usiedli jak dwa cerbery Kossak i Kazuro. Uśmiechnięty i lekko zasapany pod sumiastym wąsem drobnym kroczkiem nadbiegł ku nam od drzwi wejściowych prof. Krzeczkowski. Na uroczystość nie zdążył, ale poczciwy samolot zdołał go przynajmniej przywieźć z zagranicy na komisaryczną „herbatkę".

Pan Kazuro

— Jakże pan przyjął nagrodę stołeczną, profesorze? — spytałam p. Kazury.

Profesor poruszył się na kruchej kanapce, aż stęknęła. Sapnął jak niedźwiedź (ten z puszcz litewskich wypuszczony na stołecze salony, i rzekł wzdychając jak człowiek, co stanął wreszcie u mety:

— Ha, cóż kosztowało mnie to wiele pracy... i zatarł potężne dło nie z uśmiechem na twarzy czerstwej jak chleb razowy.

— A nowe pomysły twórcze obudziła w panu ta nowa zachęta?

— Natchnienia lubię szukać wśród planet... „Słońce", księżyc — to są tematy. Napisałbym chętnie nowe oratorium. Ale cóż — szepnął melancholijnie — ludzi to jakoś nie bierze. Może rozejrzę się wśród gwiazd pomniejszych z warszawskiego padołu, może jakiś utwór okolicznościowy... to też jest twórczość, okoliczności czasa mi wiele znaczą.

I zwracając się nagle w stronę swej sąsiadki, wdzięcznie przychylającej literacką główkę, dorzucił w zamyśleniu:

— A kobiety, tak jak okoliczności, czasem dużo mogą. I nie wiem sam, co daje w życiu pewniejsze oparcie: Kobieta z głową, solfeż, czy pieśń ludowa. Nawet ta moja ukochana piosenka ludowa, nie wiem czy byłaby dość mocna aby wydźwignąć starego litewskiego niedźwiedzia na te wzniosłe wyżyny laurów... zakończył, ocierając pot z czoła.

Przedstawicielka kobiet pióra

Kuncewiczowa, przyglądająca się swemu sąsiadowi, z „buzią w ciup", (co jest u niej nieodzowną oznaką szczerego wzruszenia), z za mgły woalki wzniosła nagle ku mnie czarne oczęta gazeli.

— Jestem taka wzruszona, jeszcze ciągle wzruszona... to dzisiejsze wielkie przeżycie, to niettylko moja radość. Czuję w sobie radość wszystkich kobiet piszących. Proszę pomyśleć — Ciągle złośliwi ludzie, szukający dziury w całym, narzekając na „baby piszące". Że jest inwazja kobiet w literaturze, że to obniża poziom, że wszystko to jest niepoważne. A tymczasem, któż zdobywa nagrody — właśnie my, kobiety. Czy kogo innego stać na to? Cóż nas może obchodzić złośliwa krytyka, jeśli mamy za sobą najmocniejszy argument — nagrodę z rąk tych, którzy są „ojcami stołecznej kultury"?

— Myśli pani o „ojcach miasta"? — spytałam podstępnie.

— No tak — Kuncewiczowa spojrzała zdziwiona — przecież to w tym wypadku wszystko jedno.

— Świat robi się taki dziwny. Goreją nad nim jakieś wielkie ogromnie ważne sprawy, rodzi się mit spraw zbiorowości. A przecież istota życia leży w drobiażczku, w podsłuchanym przez radiowy megafon życiu „Państwa Kowalskich", w jednostkowych przeżyciach egzaltowanej „Cudzo ziemki". Tylko my, piszące kobiety potrafimy wciąż, idąc za głosem powołania, uwagę ludzką przykuwać do tego prawdziwego sensu życia. I dlatego możeby być autorami dla wszystkich od recenzentów z pod znaku „Gazety Polskiej" począwszy do tych z „Naszego Przeglądu", piszemy i i żyjemy ponad konfliktami, wykraczającymi poza ramy dnia „Państwa Kowalskich". I to stanowi urok naszej... filigranowej kobiecości.

Mistrz i wierny koń

Mistrz Kossak przyglądał mi się tymczasem z pok oka z miną starego tygrysa. Kiedy zwróciłam się w jego stronę namarszczył się jeszcze bardziej.

— Trochę ten dzisiejszy dzień zatarł we mnie różne przejścia — wymruczał, postękując.

— Jakieś smutne sprawy? — spytałam z nieuleczalną wścibskością dziennikarską.

Mistrz obruszył się.

— No, choćby ta panorama Racławicka. Widział kto, żeby miewać takie kłopoty, jak ja z tymi Stykami.

—A jakże obecne perspektywy twórcze?

To mu trochę poprawiło humor. Ożywił się nieco.

— No, będzie, będzie ta zamówiona Olszynka Grochowska.

— Zapędzi pan, zapewne, mistrzu do roboty wszystkich uczniów?

— A, pewnie. Michał Anioł też nie malował sam wszystkiego. Zresztą uczą się, malując za mnie, nie tylko kunsztu malarskiego Kossaków. Trzeba, panie, tę młodź, co to dumnie przymiera z głodu na stryszkach, uczyć sztuki życia. Na byle koniu można daleko zajechać, trzeba go tylko wyprowadzić, że tak powiem, na właściwą drogę,

— Myślę, mistrzu — wtrąciłam nieśmiało — że gdyby istniała jakaś Polska Akademia Malarstwa, miałby pan w tym Pam'ie zasłużone miejsce niczem Sieroszewski w Pal'u.

Mistrz spojrzał na mnie podejrzliwie:

— Czy w tym aby nie ma złośliwości? mruknął pytająco.

Laureat naukowy

Najkrótsza była rozmowa z prof. Krzeczkowskim.

— Wie pani co — zagadnął sam ze swym poczciwym uśmiechem z za sumiastych wąsów — powiem pani rzecz, która może w moich ustach wyda się pani nowa. Stałem się gorącym zwolennikiem ghetta ławkowego. Ghetta wogóle. Rozstaje się dziś, może z lekkim żalem - ze złudzeniami przeszłości, ale rozstaję się na dobre z całym teoretycz. i praktycznym socjalizmem. Odnajduję z radością wokół siebie nowy społeczny radykalizm, nic nie mający z ducha Mordochaja Marksa. Staję się równocześnie gorącym zwolennikiem numerus nullus dla żydów w świecie naukowym. A już gdzie jak gdzie, w teoriach socjalnych, z których ma rodzić się idea przyszłości im trzeba odebrać prawo niebezpiecznego głosu.

I uśmiechał się dalej dobrotliwie, rad z wrażenia swoich słów.

„Ojciec stołecznej kultury"

Nagle jak pączek ze szmalcu wypłynęła na powierzchnię tłumu okrągła postać komisarycznego prezydenta. Stanął tuż koło nas w całej swej półtorametrowej okazałości. Zatarł pulchne rączki z ukontentowaniem.

— Rośnie kultura stołeczna, pod oczkiem magistratu, jak na drożdżach rośnie...

Wyciągnął z zanadrza karteluszek i przeczytał cenny ustęp swej uroczystościowej mowy:

„Ustanowienie i coroczne przyznawanie nagród m. st. Warszawy jest wyrazem nie tylko uznania, wyróżnienia i zachęty do dalszej pracy dla tych, którym te nagrody zostają przyznane, lecz jest także wyrazem dbałości gminy warszawskiej nie tylko o materialne, ale i duchowe wartości mieszkańców sta licy — wyrazem dbałości o ich kulturę duchową.

— Powiem państwu więcej — dorzucił — Wyrazem prawdziwej dbałości o kulturę duchową stolicy będzie dbałość o rdzenną duchową polskość jej przewodników kierujących z wyżyn ratusza wszelkimi przejawami życia, w każdej dziedzinie tworzenia kultury i jej propagandy.

W tej chwili rozdający nieopodal przedstawicielom prasy komunikaty zarządu miejskiego „Czesio" Nusbaum łysnął w moją stronę z za amerykańskich okularów wschodnimi oczami. Uśmiechał się przy tym filuternie.

* * *

Szanownych mych rozmówców uprzejmie proszę o nienadsyłanie zbędnych sprostowań, bowiem lojalnie komunikuję Czytelnikom, że wszystkie rozmowy są.. wyssane z palca.

B. Reza

Byłem w katastrofie

Codziennie administracje pism opuszczają tłumy gazeciarzy z pękami zadrukowanego papieru pod pachą, a w chwilę później ulica warszawska aż drży od okrzyków.

„Straszna katastrofa! Trzy trupy... za dziesiątkę".

Trzy trupy za dziesiątkę to nawet nie drogo bo zaledwie po niecałe cztery grosze sztuka, ale nawet taka okazja mnie nie zachęca, pozostaję bez wrażenia.

Bo ja sam przeżyłem już taką straszną katastrofę.

Było to już dawno. Jechałem pociągiem towarowym po odwrocie bolszewików z pod Warszawy.

Był to bardzo długi pociąg (coś około 80 wagonów) i jechał bardzo długo, zdarzało się, że stawał naprzykład w polu, a maszynista mówił do nas: „Nie ma wody. Musicie panowie przynieść z tego tam jeziorka w polu. Ustawiał się wtenczas długi wąż ludzi od owego jeziorka aż do lokomotywy i tak kubełkami karmiono „stalowego smoka".

Raz jednak, kiedy wyjątkowo woda była, staliśmy już około dwóch godzin przed sygnałem na jakiejś zapadłej stacyjce.

Pamiętam dobrze, że wagon, w którym jechałem, był coś trzecim od lokomotywy. Było to popołudnie w sierpniowy upał. Siedziałem wewnątrz wagonu i... myślem nogi. Tłum zaś współtowarzyszy podróży rozłożył się na łączce przy odkosie kolejowym.

Nagle dobiegły mię jakieś zmieszane krzyki, przez otwarte drzwi wagonu zobaczyłem biegnących ludzi, ktoś krzyczał: „wysiadać!" — inni: „ratujcie się!" Cała ta kakofonia dźwięków i ruchów zdumiała mię, ale nie na tyle, żebym wyskakiwał z wagonu z mokrymi nogami.

Nagle usłyszałem straszny łoskot. W chwilę potem wagon szarpnął gwałtownie, krzesło, na którym siedziałem potoczyło się gdzieś w kąt, a właściciel jego runął na podłogę, na już uprzednio wylaną z miski wodę.

Zerwałem się po chwili, nie orientując się zupełnie o co chodzi. Byłem potłuczony, mokry, pobrudzony i zły.

Wyjrzałem z wagonu. Cały tłum biegł w stronę końca pociągu, gdzie widać było tylko jakieś kłębowisko szyn i wagonów w obłokach pary wodnej.

Katastrofa! Najechali na nas — uświadomiłem sobie. Szybko chwyciłem jakieś pantofle i pobiegłem za nimi.

Cóż się okazało? Oto na nasz pociąg, stojący nieruchomo na torze, najechał drugi, również towarowy. Katastrofa, na szczęście, nie pociągnęła żadnych ofiar, gdyż ostatnie 20 naszych wagonów zawierało transport żywności dla wojsk, a pociąg, który na nas wpadł był załadowany drzewem. Maszynista zaś i pomocnik (jak się później dowiedziałem) obaj pełnili te funkcje dopiero od dwóch miesięcy, jeszcze na pół kilometra przed katastrofą zeskoczyli z lokomotywy.

Przeszło 14 wagonów i lokomotywa zostały prawie doszczętnie rozbite. Była tam jakaś komisja, pisano o złych hamulcach, wydawano komunikaty.

Ale to wszystko głupstwo. Katastrofa ta bardzo się wszystkim nam przydała. Bodaj to była jedyna, w której podróżni byli zadowoleni i chwalili sobie sprawcę.

Jak już bowiem wspomniałem, w wagonach rozbitych znajdował się transport żywności, a wtenczas o żywność nie było tak łatwo. Nic więc dziwnego, że leżące na torze piramidy z mąki, kakao, przeróżnych kasz, znalazły się nawet rozbite skrzynie z czekoladą amerykańską — były entuzjastycznie powitane przez jadących i chętnie rekwirowane jako zdobycz wojenna.

Nic dziwnego, że przybyła komisja napisała później w swoim raporcie: „Zapasy żywności zostały całkowicie zniszczone".

Ja sam je niszczyłem.

Tadeusz Glużiński

Królowa plotka

W Polsce dziś najcenniejszą informacją stała się... plotka. Tysiące ludzi plotkują i tysiące zbierają plotki. Wytworzyła się specjalna atmosfera, w której do wiadomości, opublikowanej oficjalnie, wydrukowanej na właściwym miejscu nie przywiązuje się znaczenia, a poszukuje się czegoś zagadkowego, co się po za nią kryje. Za to sługebna wieść rozchodzi się po Polsce o rzeczach, o których się nie pisze. Powtarzają ją ptaki ptakom, a drzewa drzewom. Wiadomość pęcznieje, w oczach przybiera na wadze, zdobi się upiększeniami, wreszcie dobija do uszu tego, który ją pierwszy puścił, w tak zmienionej postaci, że on, autor i ojciec duchowy, sam jej nie poznaje i zadowolony puszcza ją dalej w obieg, jako nową wiadomość i z pewnego pochodzącą źródła.

W ten sposób w znacznej mierze kształtuje się dzisiaj opinia publiczna. Oczywiście w imię prawdy trzeba przyznać, że nie wszystko kształtuje się w tym procesie, opisanym wyżej, tak automatycznie i odruchowo. Nie brak bowiem u nas wybitnych psychologów społecznych, którzy znają to dzisiejsze zamiłowanie do „pogłosek" i korzystają zeń dla celów osobistych, czy partyjnych. Ci z tajemniczą miną (tajemnicza mina jest rekwizytem niezbędnym), opowiadają dobremu znajomemu, najlepiej człowiekowi, mającemu do nich zaufanie, a mniej od nich posiadającemu informacyj politycznych, jakąś „wiasną" wiadomość, o ile możności z napomknięciem,że źródła zdradzić nie można, albo z powołaniem się na jakiś odległy autorytet i opatrują swą opowieść jaknajwiększą ilością zastrzeżeń i niedomówień. Te zastrzeżenia i niedomówienia są niezbędne i rozstrzygają właśnie o powodzeniu. Albowiem one właśnie budzą wiarę, a można założyć się o milion złotych, albo nawet o rzecz bardziej realną, o dwa kieliszki wódki, że w dalszej drodze przy podaniu z ust do ust odpadną te zastrzeżenia i niedomówienia i zostanie tylko to, na czym naprawdę sprytnemu ojcu plotki zależało i to jeszcze w dodatku ozdobione zapierającymi dech dodatkami.

Z niewielką świąteczną przesadą można powiedzieć, że jedyną dziś w Polsce „wiadomością autentyczną", jedyną wiadomością wiarygodną, jest królowa plotka, której narodziny w ulu politycznym przed chwilą opisałem. Na niej opiera się nastrój opinii, do niej stosują się ludzie w swym życiu prywatnym, z niej niejednokrotnie wywodzą swe postanowienia... polityczy.

Plotkarstwo kwitnie zawsze i wszędzie we wszystkich krajach, ale w dzisiejszej Polsce stało się zarazą społeczną, z której korzystają spryciarze. Jest to dla nich najlepszy i bodaj że jedyny sposób zapewnienia sobie współpracy tysięcy ludzi uczciwych i dobrej wiary, którzy od kłamstwa odwróciliby się ze wstrętem. Tutaj ci uczciwi bezwiednie służą kłamstwu i stają się dla tych nielicznych spryciarzy bezpłatną propagandą polityczną.

Czytelnik, do którego dotrą te słowa, złapie się zapewne za głowę i zawoła, że bez tej plotki nie wiedział by dzisiaj nic, a w każdym razie nieznałby „rzeczywistej rzeczywistości". I tutaj pisący te słowa znajduje się w najgłupszej w świecie sytuacji, bo nie może zaprzeczyć, że... Czytelnik ma rację. Ale teraz dopiero staje przed nami w całej nagości obrzydliwość choroby, na którą zapadliśmy. Czujemy zaduch atmosfery szpitala politycznego.

Dwie są przyczyny tego stanu nienormalnego. Przede wszystkim wyradzająca się wśród polityków w zboczenie niechęć do prawdy. Przy dzisiejszym rozwielmożnieniu się w polityce zasady żydowskiej „cel uświęca środki", wychowany w tym powietrzu talmudycznym polityk unika prawdy tak, jak pijak wody. Dlatego to większość politycznych oświadczeń jednostek, czy całych ugrupowań i stronnictw trzeba czytać, jak rebusy, odcyfrowywać, poszukując prawdy poza właściwym sensem słów. Co chciano przez to powiedzieć? Co chciano w ten sposób ukryć? — oto właściwe pytanie, jakie sobie zadaje szary, człowiek. Druga przyczyna, nie mniej ważna, to fakt, że nieraz najistotniejsze rzeczy u nas się przemilcza, czy to dlatego, że się je ukrywa, czy też dla tego, że o nich pisać nie wolno. W ten sposób jakże często przesadna dyskrecja urzędowa, czy półurzędowa, oraz cenzura prasowa stają się skrzydłami u ramion królowej plotki. Albowiem jak natura nie znosi próżni, tak człowiek nie zniesie braku wiadomości. Nienakarmiony prawdą, polawia fałszywe perły na wodach królowej plotki.

Ci, którzy mogliby tu wpłynąć na leczenie tej choroby, nie rozumieją, czy też nie doceniają jej szkodliwości, a są i tacy, którzy nawet najgorszą plotkę uważają za coś mniej groźnego, niż... ujawnienie prawdy.

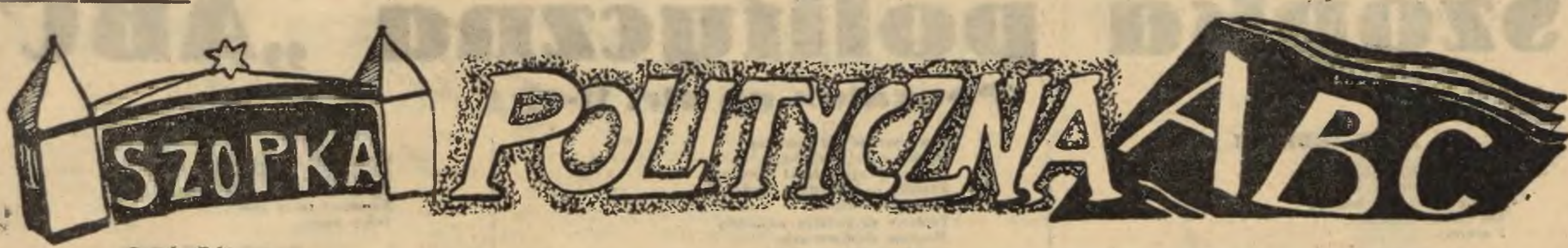
Rozpanoszona plotka polityczna da się porównać do gorączki. Gorączka jest naturalną reakcją organizmu na zatrucie go bakteriami. Dowodzi, że organizm nie poddał się jeszcze biernie chorobie, że ma jeszcze siły, by ją zwalczyć.

Ale w tym porównaniu fatalnie wypada rola tych spryciarzy, którzy płomień plotki w społeczeństwie podsycają świadomie. Oni sztucznie dla własnej korzyści podnoszą w organiźmie gorączkę, choć i ta, którą chory przeżywa, jest już dostatecznie poważna. Ale spryciarze nie zastanawiają się nad tym, że nadmiernej gorączki może nie wytrzymać serce.

Ci adiutanci królowej plotki — to typowi wyznawcy zasady, że „im gorzej, tym lepiej". W gruncie rzeczy radują się oni tym niewątpliwie prawdziwym zdaniem, że „wraz z chorym umrze i jego dżuma".

Ale my chcemy żyć i wierzymy w uzdrowienie. I dlatego kłamstwo w życiu publicznym, choćby przystrojone w tysiące „podobno", uważamy za zbrodnię nietylko przeciw przykazaniom Boskim, ale i przeciw narodowi.

Kazimierz Grosicki



W głębi widać sześcioramienną gwiazdę. Tłum „szarych ludzi": chłopów, robotników, studentów i innych — wypełnia boki sceny. Po środku wielka pusta przestrzeń, na której rozegra się przedstawienie.

Na scenę wchodzi Król Wołyński; trzyma w ręku zwój pergaminu ze zwieszającą się lakową pieczęcią.

KRÓL WOŁYŃSKI

(melodia z popularnej szopki).

Gwiazdo moja, gwiazdo jasna!
Dziś już wreszcie nadszedł czas na
Odsłonięcie tym, co są tu,
Tajemnicy twych trójkątów,
Twych trójkątów.

Już nie jeden przecie walet
Los zawdzięcza twej kabale:
Mimo damy, króle, asy ———
Rządzi się jak w mykwie chasyd,
W mykwie chasyd.

Mnie również zostało dane
Stać się takim atamanem,
Choć dla wielu — w oku solą,
Że panuję Dzikim Polom,
Dzikim Polom.

Abcśmy to jacy tacy!?
Samowładny jestem kacyk!
Tam u góry — panta rei,
A ja rządzę w swojej kniei,
W swojej kniei.

Nawet szkoda howoryty,
Tak czy owak — jestem kryty;
A po teściu mym zagrodę
Mesjaszowi dam na zgodę,
Dam na zgodę.

Wchodzi na scenę Król Harcerz. Niesie srebrną burbońską lilijkę. Ujrzawszy Króla Wołyńskiego, zwraca się doń i śpiewa.

KRÓL HARCERZ

(melodia z szopki popularnej).

Witaj, witaj miły mój kolego!
Ciebie i mnie, ciebie i mnie jedne moce strzegą.

Pójdźmy, pójdźmy razem do Mesjasza,
Niech nas gwiazda, niech nas gwiazda poprowadzi nasza.

Niosę, niosę własną dłań robotę —
Srebrną lilię, srebrną lilię powalaną błotem.

Pewno, pewno przyjmie ją w ofierze,
Gdyż po ciemku, gdyż po ciemku błota nie spostrzeże.

Wchodzi Król Drożdżowy. Trzyma paczkę drożdży. W czasie śpiewu, gdy jest mowa o drożdżach, potrząsa swoją paczką.

KRÓL DROŻDŻOWY

(melodia z szopki popularnej).

O dwaj biali monarchowie!
Żem też władcą — każdy to wie.
Lecz, że wpadłem do kałuży,
Jestem Trzeci Król — ów Murzyn,
Król — ów Murzyn!

Ręce — nogi nędznie połam,
Kto ocenić mnie nie zdoła!
Ja stworzyłem gród radośnie,
Który jak na drożdżach rośnie,
Oj! — jak rośnie.

Więc cóż barwa skóry znaczy,
Gdy tych drożdży niosę zaczyn?
Świeże drożdże, drożdże świeże
Mesjaszowi dam w ofierze,
Dam w ofierze.

TRZEJ KRÓLOWIE ŚPIEWAJĄ CHÓREM

(melodia: kolęda „Trzej królowie monarchowie").

Oto, jak każą kapłani,
Damy dar troisty:
Ziemię, drożdże niosąc w dani
I ów kwiat srebrzysty.
Pójdźmy do Mesjasza społem,
Niech prowadzi gwiazda...
Uderzymy przed Nim czołem.
Czas już w drogę — jazda!

Trzej Królowie zwracają się w stronę gwiazdy. Na scenę wchodzi Kapral w stanie spoczynku.

KAPRAL W STANIE SPOCZYNKU

(melodia z szopki popularnej).

Hej, wy tam, koronowani,
Nie pójdziecie chyba sami!?
Ludzi zbierze się po trochu...
Urządzimy wielki pochód,
Wielki pochód.

Pójdzie nas na przedzie czterech,
A za nami — zwarty szereg.
Lewa — prawa, lewa — prawa...
To jest służba — nie zabawa,
Nie zabawa.

To jest służba — nie sielanka...
Grunt — to maszerować w szrankach...
Dokąd? — mniejsza, byle karnie,
Po żołniersku, regularnie,
Regularnie.

Choć ze stanu jestem mężem,
Przepisowo się wyprężę
I złożę fragment meldunków
Mesjaszowi w podarunku,
W podarunku.

Trzej Królowie wraz z Kapralem w stanie spoczynku ustawiają się w pierwszą czwórkę przyszłego pochodu. Wbiega na scenę Pan Kukuryku.

PAN KUKURYKU, KIRTIKLIKI

(melodia z szopki popularnej)

Mimo, że piękne są pawie,
Ja przewyższam wszystkie prawie
Co za pióra, co za grzebień!?...
Miło jest spojrzeć na siebie,
Sam na siebie.

Więc kazałem wznieść mój pomnik...
Niech się cieszą i potomni,
że ich wielki protoplasta
W pierze tak pięknie porastał,
Tak porastał.

A gdy do Mesjasza trafię,
Dam pomnika fotografię...
Przyjmie ja z większą ochotą
Niż kadzidło, myrrę, złoto,
Myrrę, złoto.

Na cokole — z brązu kogut...
To — korona moich robót:
To jest pomnik nad pomniki:
Ku-ku-ry-ku, Kirti-Kliki.
Kirti-Kliki.

Na scenę wchodzi Dziad, stary Sirko.

DZIAD, STARY SIRKO

(melodia kalwaryjska).

Dziadek - włóczykij plącze się tu i tam,
Co dzień się żegna i co dzień się wita,
Odwiedza czasem zagraniczne kraje,
Zna dużo bajek.

A jedną bajkę nawet sam napisał:
O kruku, serze i chytrości lisa...
Inne — zaczerpnął z opowiadań niani,
Moi kochani.

Wołam ludkowie do was wielkim głosem:
W tej starej torbie niespodzianki niosę...
Oto nareszcie przyszedł transport nowy,
Liści bobkowych.

Niech każdy bierze, ile dusza pragnie...
A dajcież także Kachnie, Zośce, Jagnie
By doskonały ów bobkowy listek,
Miał naród wszystek.

A pal to licho! Mówiąc między nami,
Pójdę za gwiazdą z pustymi rękami,
Nic dla Mesjasza w swej torbie nie znajdę,
Powiem Mu bajdę.

Dziad i Pan Kukuryku (?) ustawiaja się w pochodzie. Na scenę wbiega grupa pasterzy. Przy śpiewaniu drugiej zwrotki biorą się za ręce i krążą wkoło.

PASTERZE ZJEDNOCZENI

(melodia kolędy: „Przybieżeli do Betlejem pasterze").

Psybiezeliśmy náremnie hoc, hoc, hoc,
Ześmy w kupie w tem ci nasa moc, moc, moc
A chociaz ten od Sasa,
Tamten zaś znów od lasa,
To jednak — jest klassa!

Baca gadał na Andrzejki hoc, hoc, hoc,
Ze nadeńdzie taka właśnie noc, noc, noc,
Kazał zawionzać koło
I bawić sie wesoło...
Beze mnie — tak wołoł.

Dzieciontecku zaśpiewamy hoc, hoc, hoc,
Fajnych nutek całom wielkom moc, moc, moc.
Dopiro bedzie dziwo,
Kazdy swojom zaśpiwo,
A kazdy — prawdziwom.

Grupa Pasterzy przyłącza się do pochodu. Na scenę wchodzą Rabin i Szabesgoj.

RABIN

(melodia z szopki popularnej).

Mówią goje, że się Mesjasz rodzi,
A niech sobie, a niech sobie, cóżto nam zaszkodzi?

Może nawet skorzystamy na tym,
Gdy nam żółte, gdy nam żółte pozdejmuje łaty.

Nowy Zakon zakaże bojkoty —
Niechaj tobie, niechaj tobie nikt nie robi, co ty.

GŁOS Z TŁUMU

Żydzie! żydzie! Zamknij wreszcie gębę,
Nie od ciebie, nie od ciebie nauk słuchać będę.

Bądź że znawcą swojego talmudu,
Lecz szczekaniem, lecz szczekaniem nie wyszydzaj cudów.

SZABESGOJ

Hańba! hańba! bojkotu ohydę,
Ja potępiam, ja potępiam choć nie jestem żydem.

Mędrzec przecie ze mnie znakomity,
A obstaję, a obstaję jednak twardo przy tym.

Choć mam, choć mam w porządku rzecz swoją,
Nie przebaczę, nie przebaczę nigdy ghetta gojom.

GŁOS Z TŁUMU

Ejże, ejże, przyznaj się otwarcie,
Ile żydzi, ile żydzi dali ci za wsparcie?!

Wkrótce żydów a też ich parobków
Przepędzimy, przepędzimy od miejsca przy żłobku.

RABIN I SZABESGOJ RAZEM

(melodia z szopki popularnej).

Pójdźmy razem do Mesjasza,
Wspólna jest niedola nasza...
Zaśpiewajmy pięknie — „gloria",
I złożymy ten memoriał,
Ten memoriał.

Pewnie Mu się to spodoba,
Bo dowiedliśmy w nim obaj,
Że On sam powiedział o tem,
Jak uporać się z bojkotem.

Wchodzi na scenę Książę Rudy.

KSIĄŻĘ RUDY

Pocóż gwiazda świeci właśnie,
Gdy tu oświecony jaśnie
Sam przybywa w tej osobie?...
Zgaśnij gwiazdo! — nic po tobie,
Nic po tobie!

Rabin pochyla się do ucha książęcego i coś szepcze. Po chwili Książę Rudy dalej śpiewa.

Albo zresztą świeće dalej!
Nie przeszkadza mi to wcale,
Nawet mile przypomina,
Że mam adoptować syna,
Banjamina.

Dziś jedynym moim celem,
Jest posiąść piękną Rachelę,
A że świecidełka lubi,
Kupiłem jej śliczny rubin,
Śliczny rubin.

Po rubinie poszedł szafir!...
Niechże to jasny szlag trafi!!...
Każda podróż do stolicy
Przynosi nowy deficyt,
Ach! deficyt.

Chcą mnie wziąć pod kuratelę,
A ja kocham tak Rachelę!
Więc, żebym nie płacił słono,
Musi zostać moją żoną,
Moją żoną.

Wchodzi na scenę Książę Wygnaniec, a słysząc ostatnią zwrotkę zwraca się zaraz do Księcia Rudego.

To zależy, to zależy...
Niech mi pan brat książę wierzy,
Czasem ślub kosztuje berło,
Gdy się ktoś chce żenić serio,
żenić serio.

Nic nie warto brać na siłę...
To są sprawy zbyt zawiłe...
A gdy ktoś się tak ocabi,
Niech ślub daje lepiej rabin,
Lepiej rabin.

KSIĄŻĘ RUDY

Wspólna jest niedola nasza...
Pójdźmy razem do Mesjasza...
Damy Mu w imieniu własnem
Oświecenie nasze jasne,
Nasze jasne.

KSIĄŻĘ WYGNANIEC

Lecz umówmy się na boku,
Jaki damy od pań okup?.

KSIĄŻĘ RUDY

Od pań naszych — tam, do biesa!
Zaśpiewamy majufesa!
Majufesa!

Rabin, Szabesgoj i Książęta dołączają się do pochodu. Wbiega na scenę Brat Jędrzej i zwraca się do dwóch książąt:

DALSZY CIĄG NA STRONIE DWUNASTEJ

Szopka polityczna „ABC"

(Początek na str. 11-ej)

BRAT JĘDRZEJ

Pójdę z wami, pójdę z wami
Mesjaszowi niosąc w dani,
Zasług moich spis bogaty,
Dla kultury i oświaty,
I oświaty.

Jak reformy gimnazistek
Zajmowały czas mój wszystek
Tak ku większej kraju chwale
Pochłania mnie teraz balet,
Teraz balet.

GŁOS Z TŁUMU

Bracie, Bracie, a jak w tym balecie?

BRAT JĘDRZEJ

Jest morowo, jest morowo, ma się wiedzieć przecie.

GŁOS Z TŁUMU

Bracie, Bracie, a skąd na to grosze?

BRAT JĘDRZEJ

Mam ja własne, mam ja własne, nikogo nie proszę.

GŁOS Z TŁUMU

Bracie, Bracie, powiedzcież nam prawie,
Jakto było, jakto było na onej wystawie:

BRAT JĘDRZEJ

Wszystko, wszystko com miał, tom wystawił,
By pokazać, by pokazać jacyśmy są klawi.

Każdy, każdy wielce się dziwował,
że to u nas, że to u nas nie od czapki głowa.

Brat Jędrzej dołącza się do pochodu. Na scenę wchodzi grupa ludzi niosących transparent z napisem: „Z(bór) N(owych) P(rometeuszy)"

Z(BÓR) N(OWYCH) P(ROMETEUSZY)

(chór na nutę z popularnej szopki)

Choć nad nami jest kurator,
My gwiżdżemy sobie na to,
Bo dziś kuratelą wiążą
Nawet oświeconych książąt,
Nawet książąt.

Diabła zje, kto z posad ruszy,
Zbór Nowych Prometeuszy,
Który w trudzie apostolskim
Szmugluje płomyk do Polski,
Myk — do Polski.

Niech szaleje kur czerwony,
Niechaj niszczy zabobony...
Gdy się w ogniu świat odradza,
Fraszką — kuratorska władza,
Fraszką — władza.

Pójdźmy za gwiazdą wspaniałą
Mesjasza dojdziem cało.
I złożymy Mu w pokłonie
Przemycony z Moskwy płomień,
Z Moskwy płomień.

Z(bór) N(owych) P(rometeuszy) dołącza się do pochodu. Na scenę wjeżdża na białym koniu Miszigene Rebe.

MISZIGENE REBE

Na swojej białej kobyłkie
Przyjechałem tu z wyszyłkiem.
Jak sze bawicz, to sze bawicz,
Sprzedacz chałat, lub zastawicz,
Lub zastawicz.

Icek słyszał od Szapira,
że sze tu pupliczność zbira
I powiedział Rozenblatu,
A un do mnie i stąd ja tu,
I stąd ja tu.

Jakie dżelne mi Polaki!
U nasz we krwi coś jeszt taki,
że po dobra pejsachówkie
Nam wesoło — jak w majówkie,
Jak w majówkie.

Uj! zatańczyć krakowiaka
U mnie jest ochota taka!
Uj! zatańczyć przed Mesjaszem
Narodowy tańcy nasze,
Tańcy nasze.

GŁOS Z TŁUMU

Żydzie! żydzie! napluję ci w kaszę,
Jeśli będziesz, jeśli będziesz mięszać nasze z waszem.

MISZIGENE REBE

Gewałt! gewałt! Huligańska heca!
Niech pan szobi niech pan szobi tak sze nie podnieca.

Aj-waj! Aj-waj! - mi już uczekamy,
Bo tam wasi, bo tam wasi biją w tarabany.

Za sceną słychać uderzenia w bęben. Po chwili wchodzi Dobosz wystukając marsza. Miszigene Rebe łączy się z resztą pochodu. W takt marsza rusza gwiazda, a za nią sformowany w czwórki pochód. Na końcu — jedzie na swym białym koniu Miszigene Rebe. Gdy Dobosz przestaje bębnić — Miszigene Rebe smętnie zawodzi.

MISZIGENE REBE

(melodia: tango „Ostatnia Niedziela").

Ostatnia Niedziela...
Nasze sny upragnione,
Nasze sny wymarzone,
Skończyły się...

Nucąc tę melodię za Miszigene Rebem pierzchają. — Tłum „szarych ludzi" obstępuje Dobosza; Twarze wszystkich wyrażają radość. Dobosz podnosi obie pałeczki od bębna i zaczyna dyrygować. W głębi wschodzi śliczna, wielopromienna gwiazda.

DOBOSZ I CHÓR „SZARYCH LUDZI"

(melodia: kolęda „Bóg się rodzi").

Oto dziś dzień wielkiej chwały,
Już odpływa żydów fala,
Naród dzielny i wspaniały
Z pasożytów się wyzwala.

Obca gwiazda już zapadła,
Nasza właśnie teraz wschodzi...
Wyzwoliwszy się od diabła,
Święćmy dzień Bożych Narodzin.

Podnieś rękę Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę Swą siłą...

Kraj nasz i Ojczyznę całą
I Twoje wioski z miastami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

KONIEC.

Genialni... intryganci

Adwokat przebył rok w więzieniu

fałszywie oskarżony przez żydów

Sąd Apelacyjny zajmował się niezwykłą intrygą jaką uknuli na szkodę adwokata Polaka Wojciecha Missali z Łodzi, znani tamtejsi bogacze, żydzi właściciele fabryki włókienniczej, Litrowscy.

Szlama Litrowski oraz jego żona Jenta byli właścicielami fabryki, której ogłoszono upadłość. Z ramienia Sądu syndykiem masy upadłości został mianowany Polak, adw. Missala. Litrowscy zabrawszy szereg dokumentów oraz ksiąg handlowych z kantoru fabryki, oskarżyli fałszywie adwokata o działanie na szkodę masy upadłościowej i wierzycieli, ukrywanie towaru, oraz różne nadużycia natury finansowej. Chodziło im bowiem o utrącenie niewygodnego syndyka masy upadłości.

Gdy władze prokuratorskie otrzymały tego rodzaju skargę na adwokata Missalę, zarządziły natychmiastowe aresztowanie adwokata, który przebywał niewinnie w więzieniu śledczym przez blisko rok. Dochodzenie prowadzone przeciwko Missali natrafiało na ciągłe trudności.

Syndyk będąc pozbawiony przez Litrowskich dowodów ksiąg, nie mógł wykazać, że oskarżenie jest bezpodstawne. Nie wiadomo, jak długo ciągnęłoby się śledztwo i Missala przebywał w więzieniu, gdyby nie to, że prowadzący dochodzenie sędzia śledczy, zarządził szczegółową rewizję w mieszkaniu oskarżycieli Litrowskich. Rewizja ta dała sensacyjne wyniki. Znaleziono wszystkie brakujące dokumenty i księgi, a ponadto niezbite dowody, że skarga o nadużycia była fałszywa i adw. Missala niewinnie znajduje się w więzieniu. Po ujawnieniu kulis tej niezwykłej afery, adwokata natychmiast zwolniono i wszczęto dochodzenie karne przeciwko małż. Litrowskim o złożenie fałszywego zameldowania, oraz wprowadzenie w błąd władzy i ukrywanie dokumentów.

Sąd Okręgowy uznał, że główną podżegaczką i inspiratorką afery była Jenta Litrowska i skazał ją na półtora roku więzienia. Szlama Litrowski otrzymał 10 miesięcy więzienia z zawieszeniem wykonania tej kary na lat 5.

Przed Sądem Apelacyjnym, dokąd odwołali się intryganci żydowscy oskarżenie popiera specjalnie delegowany z Łodzi prokurator Alfred Dreszer. Sąd drugiej instancji złagodził karę Litrowskim do 6 miesięcy więzienia, oraz zastosował wobec nich ustawę amnestyjną.



Prokurator protestuje

przeciw zwolnieniu Czarnockiego

W związku z zażaleniem prokuratora sądu okręgowego w Gdyni przeciw postanowieniu tego sądu co do zwolnienia skazanego starosty kartuskiego Czarnockiego na wolną stopę, które to zażalenie będzie rozpatrywać sąd apelacyjny w Poznaniu, akta tej sprawy nadeszły do Poznania i będą przedmiotem niejawnego posiedzenia sądu apelacyjnego.

Zaj[illegible]no meble „N. Kuriera"

za niezapłacone podatki

„Czas" donosi:

Wydawnictwo naprawiackiego „Nowego Kuriera", nie posiadającego zresztą żadnego znaczenia i wpływu na opinię od samego początku z racji zupełnego niemal braku abonentów i czytelników, popadło w poważne zaległ. płatnicze. Od samego też niemal przejęcia przez nową spółkę z p. Zawadzkim na czele nie płacono żadnych podatków, a nawet nie od prowadzono podatku od uposażeń, który ściągano z pensji personelu, co wyraźnie koliduje z ustawą. Kilkakrotne próby przeprowadzenia egzekucji tych kilkudziesięcio tysięcznej zaległości przez 1 Urząd Skarbowy, orzbijały się zawsze o interwencje wysoko postawionych osobistości.

Ostatecznie jednak przebrała się miarka i onegdaj przed lokal „Nowego Kuriera", zajechały wozy z Urzędu Skarbowego, na które załadowano całe urządzenie biurowe redakcji i administracji, a maszyny opieczętowano. Nie pomogły w tym wypadku telefony, gdyż ani p. wojewody, ani prezesa Izby Skarbowej w Poznaniu nie było. Podobno dzwoniono w tej sprawie nawet do p. płk. Koca. Dość, że wydawnictwo znalazło się na bruku. Czy wydawcom uda się dalej prowadzić pismo, trudno przewidzieć.

Z powodu nawału materiału świątecznego, odcinek powieści „Czciciele Wotana" zamieścimy w numerze następnym.

Katastrofalny pożar teatru

3 kobiety zmasakrowano

w ogarniętym paniką tłumie

BUKARESZT, 23.12. Nocy ubiegłej podczas premiery w teatrze „Vesel" wybuchł groźny pożar, który zniszczył gmach teatru, sąsiednie kino „Vox", łaźnie publiczne oraz redakcję pisma „Frontul".

Podczas premiery sala wypełniona była do ostatniego miejsca, gdyż zapowiedziane były występy słynnego komika rumuńskiego Tanase, który cieszy się wielką sympatią publiczności.

Po zakończeniu prologu, na scenie pokazały się kłęby dymu, a następnie buchnęły płomienie. Za kulisami wybuchła panika. Aktorzy w kostiumach rzucili się do ucieczki.

Na sali przerażona publiczność bezładnie rzuciła się do wyjść. Obecny na sali komisarz policji usiłował opanować panikę i zarządzić planowe opróżnianie. Został jednak porwany przez szalejący ze strachu tłum, który nie dopuścił do wydania żadnych zarządzeń. Ludzie tratując się nawzajem zdobywali sobie siłą drogę do wyjścia.

W tłoku wiele osób zostało ciężko poranionych. 15 osób z pośród widzów, z połamanymi nogami i rękoma odwieziono do szpitala. W szpitalu okazało się, że trzy kobiety z pośród przywiezionych, zmarły w drodze. Twarze ich są tak zmasakrowane, że nie zdołano ustalić nawet ich identyczności.

Straż ogniowa walczyła z pożarem do godz. 2-ej w nocy, lecz mimo energicznej akcji teatru nie zdołano uratować. Straty wyrządzone przez pożar sięgają sumy kilkudziesięciu milionów lei.

Odpowiedź na

OSTRŻEZENIE

firmy Gütermann i S-ka

Wobec ogłoszonego w prasie „ostrzeżenia" niemieckiej firmy Gütermann, posiadającej w Warszawie swą ekspozyturę w postaci nawijalni jedwabiu do szycia pod firmą „Gütermann i Ska, sp. z o. o.", w którym wyżej wymieniona firma stwierdza, że wyroby jej są w takim stopniu polskie, jak wyroby innych fabryk jedwabiu do szycia w Polsce, pomawiając tych, co głoszą inaczej o nieuczciwą konkurencję i grożąc pociągnięciem do odpowiedzialności sądowej osób rozpowszechniających jakoby niezgodne z prawdą wiadomości

OSWIADCZAMY

że my, jako w 100 proc. polska i chrześcijańska wytwórnia, wraz z innymi rozpowszechniamy prawdziwe wiadomości, że znajdujący się na rynku jedwab do szycia z niemiecką marką w postaci szachownicy jest wyrobem niemieckiej firmy Gütermann i S-ka.

Czynimy to opierając się na następujących faktach:

1. Firma Gütermann i S-ka jest własnością Niemców, panów W. i H. Gütermann, obywateli niemieckich, zamieszkałych poza granicami Polski i posiadających w Gutach (południowe Niemcy) przędzalnię odpadków jedwabiu pod firmą Gütermann i Co.

2. Jeszcze do dnia dzisiejszego znajdują się na rynku polskim wyroby firmy Gütermann z etykietami w języku niemieckim i w niemieckich opakowaniach, na dowód czego zamieszczamy poniżej reprodukcję takiej etykiety i opakowania.





3. Fabryki jedwabiu do szycia używają do swych wyrobów przędzy jedwabnej w dwóch zasadniczych gatunkach: a) rozwijanej z oprzędów kordonki grege reale) oraz b) gorsze gatunki jedwabiu do szycia z przędzy odpadkowej. Obydwa te gatunki przędz firma Gütermann i S-ka sprowadza wyłącznie z zagranicy, ograniczając swą produkcję do nawijania tych przędz na papierki (patrz rysunek). Firma ta nie posiada w Polsce nawet własnej farbiarni.

Polska firma: Dział Przemysłowy Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Milanówku, sprowadza z zagranicy tylko kordonki z przędzy odpadkowej, wobec nieistnienia dotąd w kraju przędzalni odpadków. Wszystkie wyższe gatunki kordonków (reale) C. D. S. J. Milanówek wytwarza we własnych zakładach, gdyż posiada:

Pierwszą i jedyną w Polsce mechaniczną rozwijalnię oprzędów jedwabnych.

Skręcalnię jedwabiu naturalnego.

Farbiarnię jedwabiu.

Nawijalnię jedwabiu.

Reasumując powyższe —stwierdzamy, że:

1. Firma Gütermann i S-ka, będąc własnością obcokrajowców, używając do swych wyrobów etykiet i opakowań w języku niemieckim i opierając swą produkcję wyłącznie na surowcu zagranicznym — nie ma prawa twierdzić i ogłaszać publicznie, szczególnie w formie „Ostrzeżenia", że wyroby jej są w tym samym stopniu polskie, co wyroby innych fabryk jedwabiu do szycia.

2. Pomieszczanie w prasie tego rodzaju „Ostrzeżeń" miało na celu wprowadzenie w błąd opinii publicznej, co do polskości swych wyrobów, w celu zwiększenia nabywców na swe towary.

3. Takie postępowanie firmy Gütermann i S-ka nosi wyraźnie cechy nieuczciwej konkurencji na szkodę 100 proc. polskiej firmy C. D. S. J. Milanówek.

Za straty moralne i materialne wynikłe z takiego postępowania dla firmy C. D. S. J. Milanówek, wzywamy firmę: Gütermann i S-ka, sp. z o. o. w Warszawie do wpłacenia na Fundusz Pomocy Zimowej złotych 10 tysięcy, w przeciwnym razie wystąpimy na drogę, jaką nam przepisuje prawo. Mamy nadzieję, że z tego wyjaśnienia opinia publiczna wyciągnie odpowiednie wnioski i nie dopuści, ażeby doznająca gościny na Polskiej Ziemi zasobna firma niemiecka, rozporządzająca znacznymi środkami na reklamę, pozwalała sobie takimi metodami zwalczać jedyną w 100 proc. polską i chrześcijańską fabrykę jedwabiu do szycia Działu Przemysłowego Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Milanówku

Dział Przemysłowy
Centralnej Doświadczalnej Stacji
Jedwabniczej w Milanówku.

PIĘKNY PRZYKŁAD KAWIARNI „S I M"

Kawiarnia Sim urządza Wigilię dla gazeciarzy o godz. 16.30. Chłopcy otrzymają prócz ciepłej wieczerzy — praktyczne podarunki gwiazdkowe. Przykład kawiarni Sim godny jest naśladowania.



Próbówki z bakteriami

wywołały epidemię tyfusu w Ma[illegible]ko

Sensacyjne odkrycie w Casablan ce

PARYŻ, 23. 12. W Marokko szerzy się z niezwykłą szybkością epidemia tyfusu plamistego. W ciągu tygodnia epidemia ogarnęła wszystkie dzielnice arabskiego miasta Marakesz.

Aby nie dopuścić do rozszerzania się zarazy na dalsze dzielnice, władze otoczyły dzielnicę tubylców kordonem, którego nie wolno jest przekraczać. Szpitale okazały się niewystarczające dla pomieszczenia chorych, tak, że musiano opróżnić szereg domów, gdzie zorganizowano szpitale. Wkrótce okazało się jednak, że i tu chorzy nie mieszczą się i musiano zbudować całe miasteczko z baraków, gdzie umieszczani są chorzy. Lekarze nie umieją wytłumaczyć nagłego wybuchu epidemii. Zarządzono szczepienie napotyka szereg trudności zwłaszcza wśród Arabów.

Olbrzymią sensację we Francji wywołało odkrycie podczas rewizji celnej w Casablance kilkunastu próbówek, w których mieściły się bakterie tyfusu plamistego. Próbówki ukryte były w skrzyni towaru, zadeklarowanej jako materiały włókiennicze. Obok próbówek z kulturami bakterii znaleziono również rozmaite chemikalia i narkotyki.

Wszystkim Czytelnikom, przyjaciołom pisma i wyznawcom idei narodowo-radykalnej składamy serdeczne życzenia

„WESOŁYCH ŚWIĄT"

3 powiaty

Otoczone kordonem policji

Pościg za zbiegłym Maruszeczką

RADOM 23. 12. Bandyta Kaszewiak schwytany pod Szydłowcem, przebywa w szpitalu św. Kazimierza w Radomiu. Podczas krwawej walki z policją odniósł on rany głowy, pleców, oraz ma przestrzelone kolano i golenie obu nóg. W środę wieczorem rannego Kaszewiaka poddano operacji, po której czuje się lepiej. Przy łóżku jego czuwają dwaj policjanci.

Na ślad zbiegłego bandyty Maruszeczki, kompana Kaszewiaka natrafiono dopiero przy pomocy psów policyjnych. Ślady pozostawione na śniegu wskazują, że bandyta chce przedostać się w kierunku powiatu iłżeckiego. Aby odciąć mu drogę ucieczki, Komenda Policji w Kielcach zarządziła otoczenie patrolami powiatów radomskiego, józefowskiego i kozienickiego. We wszystkich wsiach i osadach zakwaterowano posterunki policyjne.

Pościg za zbiegłym bandytą utrudnia zadymka śnieżna i gęste zarośla, które uniemożliwiają posługiwanie się takimi środkami lokomocji jak motocykl czy rower. Mimo przeszkód wydaje się, że Maruszeczko tym razem nie zdoła uciec. Pozbawiony środków żywności i odziany jedynie w lekką marynarkę, bandyta będzie musiał zbliżyć się do osiedli ludzkich.

Pasterki

w kościołach warszawskich

Pasterka będzie odprawiana w kościołach warszawskich w następujących godzinach:

w wigilię, d. 24-go b. m.

o 10 i pół wieczorem: w kościele archikatedralnym św. Jana.

tegoż dnia o 11-ej wieczorem: w kościele Narodzenia N. M. Panny przy ul. Leszno, Matki Boskiej Loretańskiej na Pradze, św. Franciszka Serafickiego przy ul. Zakroczymskiej (oo. Franciszkanów), św. Ducha (po - paulińskim), św. Krzyża, Wszystkich Świętych, św. Trójcy na Solcu, św. Floriana na Pradze, Panien Sakramentek na Nowym Mieście, oo. Kapucynów przy ul. Miodowej, św. Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej, św. Michała w Mokotowie;

tegoż dnia o 11 m. 15 u św. Stanisława przy ul. Wolskiej;

tegoż dnia o godz. 11 i pół wieczorem: w kościele św. Bonifacego w Czerniakowie, św. Jacka (po - dominikańskim), św. Jerzego w Cytadeli, św. Stanisława przy ul. Bema na Woli (starym), św. Józefa (po - karmelickim), akademickim św. Anny, Rodziny Marii przy ul. Żelaznej, św. Kazimierza na Tamce, Garnizonowym przy ul. Długiej, Bożego Ciała na Kamionku, M. B. Zwycięskiej, w kaplicy dla nieuleczalnych przy ul. Nowowiejskiej, św. Teresy przy ul. Agrikoli, św. Stanisława Kostki na Żoliborzu;

tegoż dnia o 12 w nocy: w kościele św. Józefa (PP. Wizytek), M. Boskiej Różańcowej na Nowym Bródnie, Tow. Dobroczynności, św. Rodziny przy ul. ks. Siemca, św. Józafata przy cmentarzu wojskowym na Powązkach, oo. Redemptorystów przy ul. Karolkowej, Nawiedzenia N. M. P. na Nowym Mieście, św. Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej, Zbawiciela, Bazyliki Serca Jezusowego na Michałowie, M. B. Częstochowskiej przy ul. Łazienkowskiej, pp. Kanoniczek na Placu Teatralnym, Serca Marii w Grochowie, M. B. Częstochowskiej przy ul. Łazienkowskiej.

W pierwsze święto o 5 rano: w kościele św. Aleksandra i św. Antoniego przy ul. Senatorskiej;

tegoż dnia o 5 i pół rano: w kościele św. Karola Boromeusza przy ul. Chłodnej.

tegoż dnia o 6: w kościele oo. Bazylianów przy ul. Miodowej, św. Piotra i Pawła na Koszykach, św. Karola Boromeusza na Powązkach i św. Augustyna przy ul. Nowolipki;

tegoż dnia o 7 rano: w kościele oo. Jezuitów przy ul. Świętojańskiej i św. Marcina przy ul. Piwnej

Boże Narodzenie

po lodzie

Przewidywany przebieg pogody: W dalszym ciągu pogoda chmurna z przejaśnieniami. Nocą umiarkowany, a dniem lekki mróz. Wiatry zmienne, dolne słabe, górne z prędkością do 25 km./godz

Dr. Tabisz skazany

na 2 lata więzienia

CZORTKÓW, 23.12. Sąd Okręgowy w Czortkowie wydał wyrok w sprawie d-ra Tabisza, adwokata ze Lwowa, który był oskarżony o wywołanie zajść sierpniowych na terenie powiatu buczackiego. Dr. Tabisz skazany został na dwa lata więzienia bez zawieszenia wykonania kary.

GRUDZIEŃ **24** PIĄTEK

SŁOŃCE	
Wschód	Zachód
7-42	15-27
KSIĘŻYC	
Wschód	Zachód
—	10 54
Dł. dnia	Ubyło
7-45	0-1

Dziś Wigilia
Jutro Narodz. Chr. P.
Pojutrze św. Szczep. I M.

Drożdże fermentują... na Śląsku

Afera drożdżowa

zatacza coraz szersze kręgi

Wspomnieliśmy już po krótce o ukończeniu dochodzeń w sprawie t. zw. afery drożdżowej, na terenie woj. Śląskiego, wskutek czego wyrządzono Skarbowi Państwa wielkie szkody.

Miejscowe władze skarbowe stwierdziły że od 6 lat 7 cechów piekarzy na Śląsku m. in. w Mysłowicach, Chorzowie, Tarnowskich Górach i innych miastach zajmuje się hurtową sprzedażą drożdży. Początkowo przełożeni cechów tłumaczyli się w ten sposób, iż chodzi tu jedynie o zwykłe pośrednictwo w dostawie drożdży dla członków cechu, jednak wkrótce potem stwierdzono, że cechy prowadziły handel hurtowy i to nie tylko obsługując swych członków, lecz również dostarczając towar dla kupców. Rzecz oczywista, iż cechy te nie wykupywały świadectw przemysłowych, oraz nie płaciły podatków.

Sprawa nie stałaby się głośna, gdyby nie doniesienie pewnego kupca, trudniącego się hurtową sprzedażą drożdży. Kupiec ów poskarżył się u władz skarbowych, iż robi złe interesy, gdyż musi wykupować świadectwo przemysłowe w cenie 600 zł. i płaci zbyt wysokie podatki, czego nie potrzebują natomiast czynić cechy.

W czasie początkowych dochodzeń starsi tłumaczyli się tym, iż cechy trudnią się zwykłym pośrednictwem, z czego czerpią niewielkie zyski, które zresztą wpłacają do kasy cechowej. Dalsze dochodzenia wykazały jednak coś wręcz przeciwnego. Cechy robiły bardzo wielkie obroty i niecmal były wyłącznym dostawcą drożdży. Wielkie zyski, płynące z tych transakcyj wpływały jedynie w drobnej części do kasy cechowej. Przeważająca część zysków wpływała do kieszeni cechmistrzów. Z tego powodu władze skarbowe zebrały się do zbadania całej historii i wezwały w końcu poszczególnych cechmistrzów do wykupna świadectwa przemysłowego za 6 lat wstecz, a nadto wszystkim wymierzono zaległe podatki i ukarano wielkimi grzywnami.

Niezadowoleni z wymiaru władz skarbowych starsi cechowi odwołali się do Sądu Okręgowego, to też w tych dniach jedna ze spraw była rozpatrywana przed sądem katowickim. Cechmistrza zasądzono na zapłacenie należności za świadectwa, podatki i grzywnę.

Przeciętnie każdy z cechmistrzów musi wpłacić do kasy skarbowej około 30 tysięcy złotych, a ponieważ na Śląsku jest wiele takich wypadków, Skarb Państwa zyska dość znaczne kwoty.

Ruch tramwajowy

podczas świąt

W wigilię, t. j. w piątek dnia 24 b. m. do godz. 17.30 ruch tramwajowy i autobusowy będzie normalny, po czym wozy stopniowo będą zajeżdżać do zajezdni. Zupełna przerwa komunikacji nastąpi o godz. 10-ej. Ruchu nocnego z dnia 24-go na 25-go nie będzie. W pierwszy dzień świąt ruch rozpocznie się o godz. 13-ej.

Ruch w nocy z dnia 25 na 26-go na 27-go b. m. na liniach „10". „20", „30" i „40" będzie wzmożony, przy czym wg. następującego rozkładu:

I — linia „20" do Służewa — odjazd z ul. Bema o godz. 23,40 — 0,00 — 0.31 i 0,43; ze Służewa — 0,28 — 0,38 — 0,56 — 1,42.

II — linia „30" do Marymontu — odjazd z Pl. 3-ch Krzyży o godz. 0.13 — 1.13 — 1.39; z Marymontu — 0.57 — 1,53 — 2.24.

III — linia „30" do CIWF-u odjazd z Pl. 3-ch Krzyży — 0.03 — 0.50 — 1.29; z CIWF-u — 0.45 — 1.32 — 2,11.

IV linia „50" z Czerniakowa odjazd 0.54 — 1.30 — 2.14 i 2.51; z Pl. Teatralnego do Czerniakowa — 0.12 — 0.45, 1.34 — 2.11.

V — linia „60" z Gocławka odjazd — 0.41, 2.15; z Pl. Teatralnego — 0.02 — 1.30.

VI — linia „70" z Okęcia odjazd — 0,20; z dworca Głównego odjazd — 0.45 — 1.59; Z Gocławka odjazd — — 0.23 i 2.32.

VII — linia „80" z Pelcowizny odjazd — 0.42 — 1.19 — 1,55 — 2,33; z Pl. Teatralnego odjazd — 0,05 — 0,42 — 1,22 oraz 2.00.

VIII — linia „90" z Boernerowa odjazd — 0,48 — 1,25 — 2.00 — 2.37; z Pl. Żelaznej Bramy — 0.10 — 0.48 — 1,25 — 2,02.

TEATRY

TEATR WIELKI: W piątek i sobotę przedstawienia zawieszone. W niedzielę o 12 w poł. dla dzieci „Zimowe bajki - Mikołajki". O godz. 3.30 po poł. „Legenda Bałtyku", op. Nowowiejskiego, o godz. 8 wiecz. „Słońce Meksyku". P poniedziałek „Halka".

TEATR NARODOWY: W sobotę o godz. 8 wiecz. „Skiz". W niedzielę o godz. 4 po poł. i o godz. 8 wiecz. „Skiz".

TEATR NOWY: W sobotę i niedzielę o godz. 8 w. „Powrót mamy". W końcowych próbach komedia Pirandella „Ależ to nie na serio".

TEATR LETNI: W niedzielę o godz. 4 po poł. „Ormianin z „Beyrutu".

TEATR POLSKI: W sobotę i niedzielę „Gałązka rozmarynu". Z. Nowakowskiego. W niedzielę o godz. 3.30 po poł. „Jadzia — wdową".

TEATR MAŁY: W sobotę i niedzielę o godz. 8-ej „Freuda teoria snów". W niedzielę o godz. 3 po poł. „Freuda teoria snów".

TEATR KAMERALNY: W sobotę i niedzielę „Współczesne" Gojawiczyńskiej z Ir. Grywińską. W niedzielę o 4 pp. „Współczesne".

TEATR MALICKIEJ: W sobotę o o godz. 4 po poł. „Świt, dzień i noc" z Malicką i Sawanem, o g. 8 wiecz. „Mięczak" z Malicką. W niedzielę o godz. 4 po poł. „Świt, dzień i noc" z Malicką i Sawanem, o godz. 8 wiecz. „Mięczak".

TEATR ATENEUM: W 2-gi dzień świąt o godz. 4 po poł. po cenach zniżonych po raz ostatni „Ludzie na krze".

TEATR „8.15": W sobotę i niedzielę „Cnotliwa Zuzanna". W niedzielę o godz. 4 po poł. dodatkowe przedstawienie „Cnotliwej Zuzanny".

TEATR DLA DZIECI ORTYMA: W niedzielę o godz. 12-ej i o 4 po poł. teatr Ortyma daje bajkę „Kopciuszek".

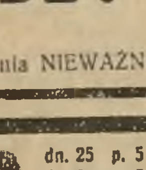
Teatry na Śląsku

TEATR IM. ST. WYSPIAŃSKIEGO W KATOWICACH

Sobota: g. 20 „Jasna Góra"
Niedziela: g. 16 „Jasna Góra" g. 20 „Dzika pszczoła".
Poniedziałek: g. 20 „Poławiacze pereł" (z Adą Sari).

TEATR KATOWICKI NA PROWINCJI:
Bielsko: poniedz. g. 19.30 „Teoria Einsteina"
Chorzów: wtorek g. 20. Teoria Einsteina".

REPERTUAR DOMU LUDOWEGO W CHORZOWIE:
Wtorek: 28 bm. g. 20. „Teoria Einsteina"



Oświadczenia świadków

w sprawie zeznań p. Starzyńskiego

Jeden ze świadków w procesie Starzyński kontra Studnicki były dyrektor Rzeźni Miejskiej p. Schoenborn złożył sądowi piśmienne oświadczenie, w którym stwierdza, że prezydent Starzyński zeznając pod przysięgą jako świadek, złożył sądowi zeznania niezgodne z istotnym stanem rzeczy w punktach, dotyczących działalności Rzeźni Miejskiej.

Według przepisów sądowych, oświadczenie takie winno być skierowane do prokuratora przy Sądzie Okręgowym. Jak donosi prasa, analogiczne oświadczenie skierowane do Sądu złożyli również inni świadkowie, badani w tej sprawie.

Proces apelacyjny

adw. Szumańskiego

W dniu 29 grudnia, w Wydziale Odwoławczym Sądu Okręgowego odbędzie się rozprawa apelacyjna przeciwko adw. Szumańskiemu, który w Sądzie Grodzkim skazany został na 6 miesięcy aresztu i 1500 zł. grzywny za obrazę ministra sprawiedliwości Grabowskiego i szeregu wyższych urzędników Ministerstwa.

„ABC" po świętach

Następny numer „ABC" ukaże się po świętach w poniedziałek t. j. dnia 27-go b. m. — — —



OGŁOSZENIA DROBNE



PIĄTEK

6.15 P. „Kiedy ranne", 6.20 Gimnastyka. 6.40 Muzyka (płyty). 7.00 Dziennik. 7.15 Muzyka (płyty).

11.15 „Ubieramy choinkę" — audycja dla dzieci. 11.57 Czas i hejnał. 12.03 Audycja południowa.

15.30 Rozmowa z chorymi. 15.45 Kolędy w wyk. chóru „Zjednoczone" i orkiestry. 16.00 „Panajezusowa kolenda" — podkrakowskie słuchowisko regionalne 16.40 Franciszek Ryling: Suita kolędowa 17.00 „Adamowe" (dzień urodzin i imienin A Mickiewicza) — słuchowisko. 17.30 Boże Narodzenie w muzyce fortepianowej. 18.00 Kolędowa opowieść — audycja słowno-muzyczna 18.50 Koncert Orkiestry P. R. i A. Szlemińskiej — śpiew 20.20 Przemówienie wigilijne Prymasa Polski Ks. Kardynała Dr. Augusta Hlonda (z Poznania) 20.30 „Nasza choinka". 21.15 Koncert w wyk. Małej Ork. P. R. 23.00 „U braci Słowian — po kolędzie". 23.15 **PASTERKA** z 500-letniego kościółka wiejskiego w Kaźmierzu koło Poznania, poprzedzona reportażem Jana Kilarskiego.

WARSZAWA II

13.00 Fragmenty z dzieł Ryszarda Wagnera (płyty). 14.10 Zespół W. Tychowskiego i W. Osieckiego 15.00 Reportaż. 15.15 Pieśni w wyk W Myszkowskiego

AUDYCJE KRÓTKOFALOWE

24.00 1. Pasterka z 50-letniego Kościołka wiejskiego z Kaźmierza koło Poznania 2. Przemówienie Prymasa Polski, ks. Kardynała dr. Augusta Hlonda 3. Kolędowa opowieść — audycja słowno-muzyczna.

AUDYCJE ZAGRANICZNE

16.00 Mediolan. Recital skrz. N. Milsteina (Tr. z Akademii św. Cecylii)

18.30 Ryga. „Ave Maria" — kantata Medinsa.

20.45 Lublana. „Mesjasz" — oratorium Haendla. Cz. I.

21.00 Bruksela flam. „Zwiastowanie Najśw. Marii Panny" — słuchowisko wg. Claudela z muz. Milhauda.

SOBOTA

8.00 Czas i kolenda „Bóg się rodzi". 8.05 Gazetka rolnicza. 8.20 Wiązanka kolend w układzie Henryka Niczego 9.00 Koncert rozrywkowy w wyk. zespołu salonowego. 10.15 Transmisja nabożeństwa z Katedry Poznańskiej. Mszę św. celebrować będzie Prymas Polski ks. Kardynał. dr. August Hlond. 11.57 Czas i hejnał. 12.05 Wesoła audycja dla dzieci „Dzień dobry, choinka" — rewia podarków gwiazdkowych. 12.30 Koncert rozrywkowy A. Hermana 13.30 Humor w piosence i melodii. 14.30 „Boże Narodzenie w Korkożyszkach" — audycja

15.00 Chór Dana oraz jego członkowie w solowych występach 16.30 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść M. Kuncewiczowej. 16.48 „Stała się rzecz wielce dziwna" — szopka staropolska. 17.30 Muzyka taneczna w wyk. zesp. J. Rożewicza. 18.55 Audycja dla Polaków zagranicą: „Wieczór pod choinką". 19.25 Koncert muzyki religijnej pod dyr. mgr. Lorenzo Perosiego. 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry T. Seredyńskiego, „Wesołej Piątki" oraz W. Dziedziszyńskiego — tenor. 21.30 „Z kolendą po świecie" — reportaż. 22.15 „Kolejdoskop" — audycja muzyczna. 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

WARSZAWA II

14.30 Recital foterpianowy J. Smidowicza. 15.00 1000 taktów muzyki w wyk. zwiększonego zespołu St. Rachonia. 16.00 Z twórczości kameralnej Debussy'ego (płyty). 16.50 Koncert solistów: H. Radlińska (śpiew) i T. Lifan (wiolonczela).

AUDYCJE KRÓTKOFALOWE

24.00 1. Panajezusowa kolenda" — słuchowisko regionalne. 2. Polska Kapela Ludowa F. Dzierzanowskiego. 3. „Bóg się rodzi" — audycja literacka. 4. Kolendy i pastorałki. 5. „Boże Narodzenie w Polsce" — felieton w języku angielskim.

NIEDZIELA

8.00 Czas i pieśń „Najświętsza Panno". 8.05 Kolendy regionalne w oprac. Feliksa Nowowiejskiego. Wykona W. Krzyżanowska - Żakowska, przy fortep. Wł. Raczkowski. 8. 25 Kolendy u obcych narodów. 9.00 Transm. nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie. 10.30 Gioacchino Rossini: „Cyrulik Sewilski" — opera komiczna w 2-ch aktach w wyk. opery „La Scala".

11.57 Czas i hejnał. 12.03 Poranek symfoniczny. 13.30 Koncert rozrywkowy. 15.00 „Po kolendzie" — słuchowisko regionalne. 15.45 „Jak to dzieci do Betlejem wędrowały" — audycja dla dzieci. 16.05 Koncert solistów. Wyk. O. Martusiewicz, W. Pastówna 16.45 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść mówiona M. Kuncewiczowej. 17.00 Muzyka taneczna w wyk. Orkiestry T. Seredyńskiego i Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego. 18.20 „Siedem gwiazd" — poemat Mikołaja Kopernika o Chrystusie w przekł. Jana Kasprowicza. 19.30 „Słynni wirtuozi (X audycja) Menuhin (skrzypce) J. Kiepura (płyty). 20,30 Wiadomości sportowe. 20.40 Przegląd polityczny. 20.50 Dziennik. 21.00 „Z Tońkiem i Szczepkiem pod Bożym drzewkiem" — wesoła audycja (ze Lwowa). 21.30 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki. 21.45 Lekka audycja z Łodzi. Wyk. Rewelerski, Zespół cytr, A. Makowski — klarnet, B. Brzeziński — gwizd artystyczny. 22.30 Do tańca gra Mała Orkiestra P. R.

WARSZAWA II

15.00 Słynne śpiewaczki polskie (płyty). 16.00 Felieton. 16.10 Zespół W. Tychowskiego i W. Osieckiego. 18.30 Muzyka taneczna (płyty). 19.30 Zespół salonowy M. Winowskiego i M. Wróblewskiego. 20.30 Koncert popularny (płyty).

PONIEDZIAŁEK

6.15 Kolenda. 6.20 Gimnastyka. 6.40 Koncert poranny.

11.40 Jak się buduje organy. 11.57 Czas i hejnał. 12.03 Audycja południowa.

15.30 Wiadomości gospodarcze. 15.45 „Z pieśnią po kraju". 16.15 Orkiestra Dyrekcji Tramwajów i Autobusów Miejskich. 16.50 Pogadanka. 17.00 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść M. Kuncewiczowej. 17.15 Koncert skrzypcowy R. Schumanna. 17.50 Pogadanka sportowa i wiadomości sportowe. 18.10 Humorystyczne piosenki Chóru Dana (płyty). 18.35 Audycja dla wsi. 19.00 Audycja strzelecka. 19.30 „Dyskutujmy": „Bilans dobrej woli". 19.50 Pogadanka. 20.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" z udz. St. Lennarta — piosenki. 20.45 Dziennik. 20.55 Pogadanka. 21.00 Koncert rozrywkowy. 21.40 Nowości literackie. 22.00 „Polskie wesele" — suita baletowa F. Nowowiejskiego. 22.50 Dziennik i kom. meteorol.

WARSZAWA II

13.00 Koncert rozrywkowy (płyty). 14.10 Chopin i Liszt (płyty). 15.00 „Nowomiejskie kościoły stolicy". 15.15 Wiadomości sportowe. 15.20 Zespół salonowy H. Kowalskiego. 18.00 Recital fortepianowy W. Konopkiej. 18.50 Muzyka lekka (płyty). 19.55 Życie kulturalne. 22.00 Reportaż. 22.15 Muzyka taneczna (płyty).

Jacek Brzezina

Hiszpańska beczka prochu

Wojna w Hiszpanii zwróciła całą uwagę europejską, podzieliła stary kontynent na dwa ideologiczne obozy, wywołała niezliczoną ilość interwencji, powołała do życia prawdziwy potop nikomu niepotrzebnych międzynarodowych komitetów, zbliżyła widmo ogólnej wojny o dobrych parę lat i jako poniekąd dalszy ciąg wojny abisyńskiej zakończyła ostatecznie kryzys światowy. O tyle też się przydała.

KOMUNIZM CONTRA FASZYZM

Na półwyspie pirenejskim po raz pierwszy wypróbowano nieznaną dotychczas w dziejach świata metodę walki. Dwie wrogie, choć jakże pod wieloma względami zbliżone, ideologie rozpoczęły walkę ze sobą, na terenie trzeciego, pośrednio tylko zainteresowanego w sporze państwa. Walka ta, co najdziwniejsze, jednak, najmniej godzi w biorące w niej udział strony. Kaczej pomaga im, ostrze swoje zwracając, prócz państwa, na którego terenie się odbywa, w stronę dwóch mocarstw „demokratycznych" Francji i Anglii. Ani jedna, ani druga strona w konflikcie bezpośrednio i otwarcie nie zaangażowały się, a jednak ponoszą jego najcięższe skutki, Francja zbiera plon filosowieckiej polityki rządów Bluma, ale Anglia?

Komunizm, dążąc już od dłuższego czasu do objęcia swoimi czerwonymi skrzydłami Hiszpanii, miał zamiar sięgnąć stamtąd przez Pireneje do Francji, a więc zaatakować Europę od zachodu z równoczesnym zetknięciem się bezpośrednim z Afryką północną, czyli z tamtejszymi koloniami francuskimi, w których z tak bliskiej odległości zapalenie buntu nie byłoby rzeczą trudną.

Faszyzm, popierając wydatnie Hiszpanię generała Franco, piekł równocześnie na jednym ogniu dwa kartofle. Niedopuszczając do rozpanoszenia się Sowietów w Hiszpanii, zabezpieczał się przed groźnymi wpływami komunizmu i równocześnie, w myśl swoich imperialistycznych planów, zmierzał do zupełnego zamknięcia i opanowania morza Śródziemnego.

CIOS W ANGLIĘ

Ten właśnie cios najbardziej uderzał w Anglię, która przetrawiwszy z bólem aneksję Abisynii i zaszachowanie Egiptu, wszelkie dalsze zakusy na hegemonię na morzu Śródziemnym i na drogę do Indyj traktuje, jako wrogie kroki, mające na celu zlikwidowanie imperium brytyjskiego.

I Wielka Brytania znalazła się naprawdę w trudnym impasie. Pomagając rządowi walenckiemu, czyli Moskwie, musiałaby się zgodzić z tym, że po Hiszpanii przyjdzie kolej na Francję. Komunistyczna Francja nie byłaby już gwarantowanym przyjacielem Anglii, odwrotnie mogłaby się stać groźnym ideologicznym wrogiem. Pomagając rządowi narodowemu, Anglia wobec przewagi w nim wpływów włosko - niemieckich godziłaby się z góry na utratę Gibraltaru, a przez to samo panowania nad morzem Śródziemnym.

DYPLOMATYCZNE KŁÓTNIE

Sytuacja ciężka i godna zaprawdę dyplomacji angielskiej Wybrnąć z niej usiłowano połowicznie, nie biorąc niczyjej strony i dążąc z uporem do zlikwidowania zatargu lub conajmniej do sprowadzenia go do roli czysto wewnętrznej, słusznie zaznaczając, że gdyby nie interwencje Sowietów, Włoch i Niemiec, hiszpańska wojna domowa dawnoby się już skończyła i ani na chwilę nie zagroziłaby ogólno światowemu pokojowi. Powołano komitet nieinterwencji, wprowadzono kontrolę wybrzeży, nieomal błagano zainteresowane strony, by zaprzestały wysyłki „ochotników". Długo się to ciągnęło, długo musieli przekonywać dyplomaci angielscy, by wreszcie nikogo nie przekonać i do niczego konkretnego nie doprowadzić.

Jak zwykle jednak w takich wypadkach, po wyczerpaniu przez nikogo poważnie nie traktowanych dyskusji (gdy podczas obrad komitetów Sowiety się sprzeciwiały — Ribbentrop krzyczał, iż wprowadzają zamęt i nie chcą zgody. Gdy Majski zgadzał się, Ribbentrop robił zamieszanie i tak w kółko!), nastąpiło odprężenie.

Przyczyniły się do niego: zwycięstwa generała Franco, dobitnie przekonywujące, iż pomoc faszystowska okazała się skuteczniejsza, od sowieckiej oraz rozgorzała niespodziewanie na drugim kontynencie wojna japońsko - chińska.

W OBLICZU WSCHODNICH NIEBEZPIECZEŃSTW

Anglia, zagrożona na Dalekim Wschodzie, nie ryzykując prowadzenia bezowocnej dyplomatycznej gry na dwa fronty, postanowiła za wszelką cenę zlikwidować zatarg hiszpański, by móc się poświęcić w całości zagadnieniom chińskim oraz nagle wyłonionym kategorycznym żądaniom Niemiec o zwrot kolonii.

Uznano w Anglii, że należy wejść w porozumienie z generałem Franco i uratować choćby resztę wpływów brytyjskich przy wejściu do morza Śródziemnego.

Plan ten, być może zbyt późno wprowadzony w życie dał na razie dobre rezultaty, co należy bezwzględnie uważać za wielki sukces angielskiej dyplomacji. Niemcy i Włochy, zainteresowane w pakcie antykomunistycznym, widząc iż uwaga Sowietów przeskoczyła nagle z terenu Hiszpanii na daleko bliższe Moskwie tereny Dalekiego Wschodu, postanowiły zabrać się z powrotem do swoich wewnętrznych spraw, pozostawiając ostateczną rozgrywkę w Hiszpanii i tak już zwycięskiemu generałowi Franco.

Niemcy i Włochy, zagwarantowawszy sobie dominujące wpływy w przyszłej faszystowsko - narodowej Hiszpanii, uznały projekt angielski wycofania „ochotników" za słuszny; Sowiety, widząc przegraną i zagrożone przez Japonię od tyłu, czynią to samo co Anglia, korzystając z oficjalnego ustąpienia zainteresowanych w sporze mocarstw, natychmiast nawiązuje rokowania z rządem gen. Franco, by, jak już wyżej napisałem, choć w części uratować swoje interesy. „Lepiej późno, niż wcale!".

SPOKÓJ WRACA

Obecnie w Brukseli toczą się pod czujną opieką mocarstw rokowania między generałem Franco, a rządem czerwonej Hiszpanii. W tych warunkach należy uważać, że konflikt hiszpański zeszedł wreszcie z międzynarodowej areny, stał się tym, czym, powinien był być od początku — czysto wewnętrzną sprawą Hiszpanii. Jak będą się przedstawiać koncesje niemiecko - włoskie, udzielone przez gen. Franco wzamian za wybitną pomoc wojskowo - finansową, pokaże najbliższa przyszłość. Coś możnaby o nich powiedzieć, przypomniawszy sobie niedawną stosunkową historię z próbnym atakiem niemieckim na Tangier.

CZY BEZ POMOCY?

Rzecz pewna, że Anglia na tym wszystkim straci. Droga do Indyj, strzeżona dotychczas przez niezwalczoną flotę brytyjską stanie się bardziej, niż problematyczną. Przewaga na morzu Śródziemnym, która poczęła się chwiać w czasie wojny włosko - abisyńskiej, teraz w czasie pokoju jest już tylko nominalna. Jak będzie w czasie wojny? Czy flota brytyjska potrafi się przedrzeć przez potrójny łańcuch włoski? Nad rozbiciem pierwszego, najważniejszego, gibraltarskiego łańcucha pracować będzie teraz już w warunkach pokojowych Sir Hugdson, agent angielski przy rządzie gen. Franco. Być może, że powrót na tron hiszpański młodszego syna króla Alfonsa, mieszkającego stale w Anglii, wpłynie również na odprężenie sytuacji, tymbardziej, że odbudowująca się z gruzów Hiszpania będzie potrzebowała pieniędzy, których łatwiej dostarczy jej Anglia niż Włochy i Niemcy razem wzięte!

W. Szary

Ten pagórek

Niby nie wiem, co to komu ma szkodzić? Czy ten pagórek przedtym jakoś się nazywał? Czy czyjejś pamięci zrobiono krzywdę, nadając mu nazwę wojewody Kirtiklisa?

Wojewoda ów nie urzęduje już. A pamięć po nim trwać będzie przez wieki. Kiedyś, malując naszą epokę i jej duchą, historycy będą wspominać ten pagórek i tego wojewodę. Na nic się nie zdadzą próby wymazania z pamięci jego oryginalnego nazwiska.

Pozostanie ono na trwałe, zapisane na kartach historii. Kto wie, może ów kamień za jedne 25 złotych (z jakich kredytów?) znajdzie się w jakimś muzeum historycznym?

* * *

Cześć zasłudze! My, Polacy, potrzebujemy wyróżnień. Ja bym uważał, że nie ma sensu przyczepiać się do pana ekswojewody o chęć uwiecznienia swego nazwiska.

Jedno mnie tylko razi: mała skala tych poczynań. Bo pagórka przecież wcale na cześć pana Kirtiklisa nie zrobiono. Był już przed tym. A taki szczegół, jak ten kamień, wcale się nie liczy..

Iluż jest u nas starostów, nie mówiąc już o innych dygnitarzach, których zasługi należałoby uczcić w sposób bardziej odpowiedni.

Dlaczego naprzykład u nas drogi nie mają swych nazw? Taka naprzykład droga z Warszawy do Krakowa przebiega chyba przez najmniej 8 powiatów i trzy województwa. Podzielić ją na odcinki i ponazywać. Naprzykład, licząc od Warszawy, w powiecie grójeckim byłaby droga imienia pana starosty Grójeckiego (nie znam imienia i nazwiska...), potym droga imienia pana starosty Radomskiego, potym pana starosty Końskiego i tak dalej, aż do Krakowa.

U granic każdego powiatu byłby odpowiedni napis: koniec drogi (a może wyboi) pana starosty Iksińskiego — początek drogi pana starosty Ypsylonowicza.

Możnaby jeszcze z tymi napisami urządzić inaczej. Na terenie całego województwa droga nazywałaby się „szlak imienia pana wojewody Zetowskiego", a na terenie powiatu „odcinek pana starosty"... Dzieląc tak dalej możemy zrobić pododcinki panów wójtów i sołtysów.

A możeby pamiętać i o ministrze robót publicznych? Naprzykład postawić na nowym placu przed Dworcem Głównym pomnik ministra komunikacji, na początek niewielki, naprzykład wysokości 1 metra. W miarę wzrostu ilości dróg o dobrej, gładkiej nawierzchni postać pana ministra byłaby odpowiednio powiększana.

Wszyscy byśmy się szczerze cieszyli, gdyby wzniosła się ponad szczyty Cedergrena czy Prudantialu. Ale oczywiście, na wypadek pogorszenia dróg, postać pana ministra musielibyśmy zmniejszać... Śmiesznie by wyglądało np., gdyby było pół metra...

Wojewodów dla odmiany możnaby poustawiać gdzieś na placu Teatralnym. 17 postaci rzędem na początek jednakowej wysokości. A potym znów obliczałoby się ilość popełnionych na ich terenie zbrodni, stan samorządu, oszczędności w administracji, pomoc zimową — i wedle tych wszystkich wskaźników obliczałoby się wysokość pomników.

W dniu zmian tłum (można urządzać wycieczki z prowincji!) z niecierpliwością oczekiwałby opuszczenia zasłony i żywo interesowałby się zmianami:

— O, patrzcie, ten urósł!

— A tamten, jaki malutki! Prawie go nie widać!

Wyobraźcie sobie, że pan wojewoda Kirtiklis dowiedziałby się, że go prawie nie widać! Jakby na drugi rok urósł, nawet gdyby statystyki wyborcze nie były brane pod uwagę przy wyznaczaniu wielkości pomników.

A więc żądamy większej ilości pomników. Więcej pamiątek, więcej czci dla zasługi. Niech nazwiska wojewodów i starostów nie giną w mroku niepamięci, niech naród na wieki zachowa je w swych sercach lub....

Żądamy wniesienia do sejmu projektu ustawy o budowie elastycznych pomników dla zasłużonych!

P. S. Mógłby ktoś mieć wątpliwości, czy w praktyce uda się tak powiększać i zmniejszać postacie na pomnikach. Myślę, że to nie sprawi trudności, bo pomniki mogą być nadymane.

Tajemnice „purpurowego" jeziora

otoczonego opieką sowieckich uczonych

Na północnym brzegu Rosji, tuż przy Murmanie, wśród lodowatych fal morza, znajduje się wyspa Kiłdin, a na niej połyskują fale dziwnego rodzaju jeziora. Jeziora. Jezioro zwie się Mogilnoje, czyli Grobowe. Składa się ono z pięciu różnych warstw wody, które istnieją odrębnie i wcale się ze sobą nie mieszają. Pierwsza warstwa głębokości metra, jest utworzona z wody słodkiej, potem idzie trzy do czterech metrów głęboka druga warstwa ze słabą zawartością soli, pod którą leży trzecia utworzona ze słonej wody morskiej. Na głębokości 12 do 13 m. leży warstwa różowo - czerwonej wody, a wreszcie pod nią, na samym dnie, specjalny poziom wody, nasyconej siarkowodorem. Dno jeziora powleczone jest czarnym szlamem, w którym wywiązuje się intensywnie siarkowodór i inne) powinnny uniemożliwić istnienie wszelkich istot żyjących w wodach jeziora.

A tymczasem jezioro jest ożywione, i to ożywione wielką liczbą przedstawicieli świata zwierzęcego i roślinnego wód słodkich i słonych, których samo wyliczenie zajęłoby kilkadziesiąt stron przeciętnej książki naukowej.

Dlaczego te istoty żyją, mimo istnienia gazów? Oto najniższa zabójcza warstwa wody, jest hermetycznie zamknięta przez warstwę na niej leżącą, a wypełnioną purpurowymi bakteriami. Są to bakterie utleniające siarkowodór, zużywają one gaz wznoszący się z najniższej warstwy i nie pozwalają mu przedostać się ku górze.

Mimo głębokich badań rosyjskich uczonych, nie została wyjaśniona całkowicie zagadka tego uwarstwowienia wody, przy którym każda warstwa ma określoną głębokość i temperaturę.

Wyspa Kiłdin wzniosła się prawdopodobnie w ciągu tysięcy lat z dna morza. Obecne jezioro jest pozostałością dawnego zagłębienia w dnie morskim, wypełnionego słoną wodą morską (tak zw. jezioro reliktowe). Zwykle takie jeziora wysychają stopniowo, albo zmieniają się w jeziora o słodkiej wodzie, przy czym zwierzęta i rośliny morskie wymierają.

Tymczasem jezioro Mogilnoje zachowuje się całkiem inaczej. W jego wodach gości jeszcze wielu przedstawicieli fauny morskiej, np. stokfisz, promienice, jeżowce, rozgwiazdy i tp. Wiele z tych zwierząt musiało z biegiem czasu przystosować się do nowych warunków, ponieważ wyższe warstwy wody zaczęły stawać się słodkimi. Wskutek tych zmian wytworzyły się formy karłowe przedstawicieli fauny pomorskiej o wyblakłym zabarwieniu, które częściowo mogą żyć także i w warstwie słodkiej wody.

Dlaczego jezioro z czasem nie zmieniło się w całkowicie słodkie i dlaczego między poszczególnymi warstwami panuje taka harmonia, niczym niezamącona? Dokładne badania ustaliły, że jezioro posiada także przypływ i odpływ, wysokości kilku centymetrów. Istnieje prawdopodobieństwo, że jezioro ma jakieś niewidoczne połączenie z morzem.

To godne podziwu jezioro zostało zbadane przez rosyjskich uczonych z N. Dieriuginem na czele i od niedawna zostało oddane pod ochronę przyrody w Rosji.

Jerzy Korycki

Królestwo za śnieg

Braci narciarskiej ku pocieszeniu

Codziennie rano liczna rzesza narciarzy, czekająca na śnieg niczem żydzi na mannę na pustyni, biegnie do okna, a po tym klnie krótko ale soczyście, prawdziwie po narciarsku.

Bo śniegu znowu niema.

Tylko za oknami widać sunące auta rozpryskujące bojowo błoto na przechodniów, ciemne lepkie



błoto które burzy się i rośnie zupełnie jak fermentujące... drożdże.

NA BOBKOWYM WIERCHU

Gdzieś tam w górach szczęśliwcy już dawno na Bobkowym Wierchu używają sobie dowoli w półtorametrowym puchu śnieżnym. Ci, którym zabrakło czasu (czas to pieniądz) na wyjazd mogą tylko usiąść i pomarzyć.

Pomarzyć o tym, że od jutra zacznie padać piękny suchy śnieg. Pada... pada tak już dwadzieścia cztery godziny.

Pomarzyć, że bierze się już od miesiąca przygotowany rynsztunek narciarski i wyrusza szybko (żeby inny nie ubiegli) „za miasto na wzgórek".

Ze znowu zaroiły się wszystkie góry i górki podwarszawskie. Bielany, Miłosna „Łapigrosz" Płudy i t. d.

Oto wzgórza pokryte białym kropami narciarzy. Zawsze pierwsza, zawsze w pogoni za rekordem, z hałasem możliwie największym jeździ młodzież szkolna, niektórzy zerkają już na barwne kostiumy pań, ale „uczciwy sztubak na nartach" ma w pogardzie takich „babiarzy".

CIASNY KOSTIUM

Ówdzie dama w balzakowskim wieku (lekarz zalecił na schudnięcie) opięła swe nieco za „przelewne" kształty tak ciasnym kostiumem, że chyba cała rodzina pomagała w zapinaniu. Dama z trudem pnie się do góry, z kunsztownego maquillage'u już dawno pozostało na twarzy tylko jakieś lepkie ciasto z potu, różu i pudru. Pozostał tylko wzrok tak samo pożądliwie obejmujący smukłe sylwetki narciarzy, jak wczoraj „gigolaków" na dancingu.

GDZIE SZALEJĄ ŻYDZI

A oto pagórek „szaleją żydzi" krzyki z tamtąd rozchodzą się po całej okolicy, naród wybrany jeśli już zaryzykował puścić się na niebezpieczne wzgórza Miłosny, to chce żeby wszyscy słyszeli o tym wspaniałym krew w żyłach mrożącym czynie.

„Uj patrz pan jak ten Leoś jeździ, nic się nie boi, taki z niego chojrak."

MORYC UWODZICIEL

Obok panna Marlenka i pan Moryś, znany zdobywca serc pięknych Semitek. Pan Moryś tłumaczy właśnie, że lepiej jechać we dwójkę w las.

„Panno Marlenko tam właśnie będzie przyjemno, tam są takie górki, krzaczki powietrze górskie".

Panna Marlenka waha się nieco.

„Ale przecież na śniegu to mokro i zimno — odpowiada.

Więc Moryc przekonywa, rzuca demoniczne spojrzenia, aż wreszcie Marlenka, która nigdy jeszcze na śniegu nie próbowała znika z Morysiem w pobliskim lasku.

MAŁY BEREK JOSELEWICZ

Są i mamy.

„Oh pani jaki ten mój Salomonek odważny on już zjeżdża z dziesięciu metrów i nic się nie boi, taki mały Berek Joselewicz, kochane dziecko".

A „mały Berek Joselewicz" właśnie ryczy jak dziki osioł, bo go jakiś starszy żyd tak popchnął, że aż upadł. Mama zaraz uspakaja „Cicho, cicho synku, nie płacz, jak zjedziesz z tej góry to ci dam piętnaście groszy".

To pomaga natychmiast.

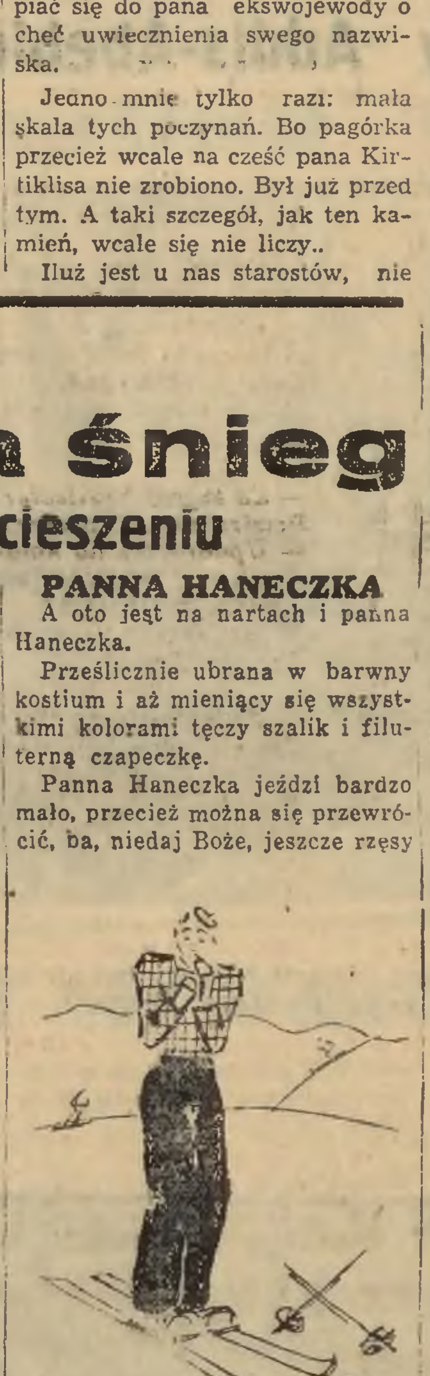
Tak bawią się i szaleją na nartach Nalewki.

PANNA HANECZKA

A oto jest na nartach i panna Haneczka.

Prześlicznie ubrana w barwny kostium i aż mieniący się wszystkimi kolorami tęczy szalik i filuterną czapeczkę.

Panna Haneczka jeździ bardzo mało, przecież można się przewrócić, ba, niedaj Boże, jeszcze rzęsy



się odkleją, lub brew zamaże.

Zresztą panna Haneczka niema czasu, otoczona rojem bawidamków, strzela oczkiem na prawo i lewo i obdarza powłóczystymi spojrzeniami nowe ofiary, zaś resztę czasu zajmuje jej bez reszty, ciągłe przypudrowywanie noska

„Nie mogę dużo jeździć, doktór zabronił — tłumaczy wielbicielom — niestety, serce... a ja tak uwielbiam sport i narty". Tu westchnienie i spojrzenie z serii tych ostatnio wypracowanych przed lustrem, co to mają na mężczyznę działać jak ogień i woda zarazem.

— — — — — — —

Ale rzućmy już tych wszystkich sportowców z nieprawdziwego zdarzenia.

Oto przecież wzgórza, aż roją się od muskularnych sylwetek rasowych narciarzy płci obojga, starych i młodych, z kosztownymi nartami szwedzkimi i z prymitywnymi deskami „własnego przemysłu".

Jeżdżą, kreślą piękne „talemarki", czy zawiłe „kristianie", zdobywają zapas zdrowia, siły i humoru, piją z wielkiej czary „radość życia" i wracają do domu późnym wieczorem zmachani i głodni jak wilki, a przecież każdy z nich już się cieszy, że po sześciu dniach ciężkiej pracy, znowu znajdzie się za miastem, znowu przypnie deski.

Czyż bowiem jest piękniejszy sport... Czyż jest piękniejsza muzyka jak poświst wiatru w uszach i chropowaty zgrzyt nart, krających świeży puszysty śnieg.

Z całego świata

„Fuksówka"



Studenci belgijscy urządzają tradycyjną „fuksówkę" dla nowo przyjętych. Delikwentów oblewa się najpierw wodą, a później obsypuje kwiatami.

Święta

Nastroje przedświąteczne ogarnęły Warszawę. Oto popularny „dziadek" na ulicach stolicy i przygotowywanie dekoracji do tradycyjnej szopki.





Po zdobyciu Nankinu







Oto kilka obrazków ze zdobytego przez Japończyków Nankinu. Barykady na ulicach i wykolejony pociąg. Jednocześnie rozpoczęto akcję samarytańską. Wojska japońskie udzielają pomocy dzieciom.

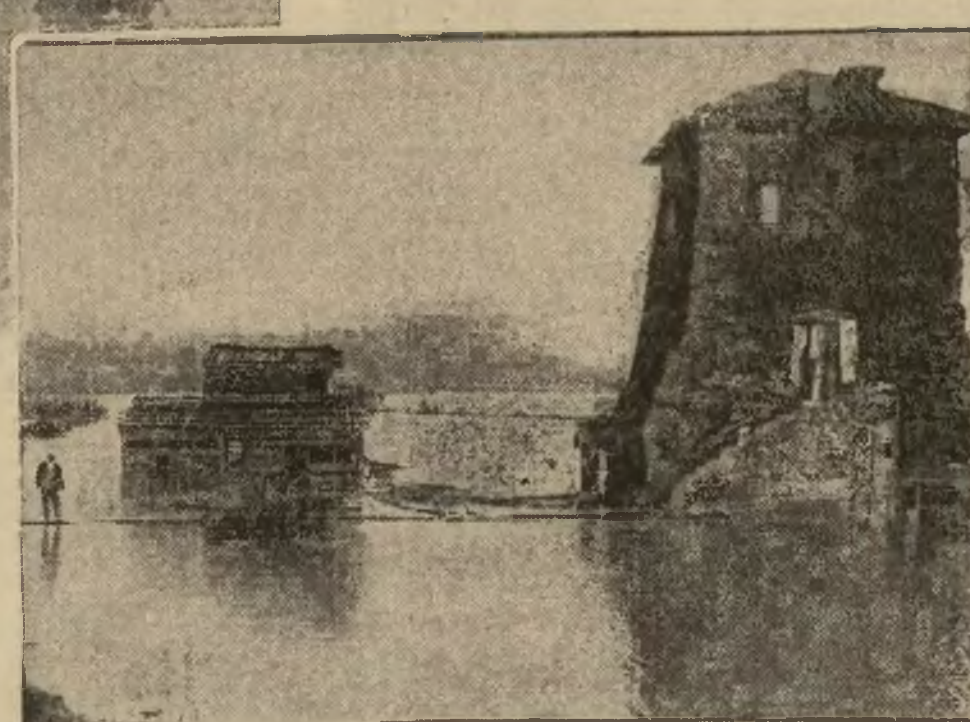
Rewia w Addis-Abebie



„Ks. d'Aosta, nowomianowany wicekról Abisynii, lustruje oddziały wojskowe na rewii w Addis-Abebie.

Powódź we Włoszech





Fala olbrzymich powodzi ogarnęła Włochy. Oto obrazki z ulic Rzymu i okolic podmiejskich „wiecznego miasta" pod wodą.

Samolot pod lodem



Rzadki wypadek zdarzył się w Norviken (Szwecja). Oto samolot lądując na zamarzniętym jeziorze przebił lód i wpadł pod wodę. Jedynie z wielką trudnością udało się go wydobyć.

Redaktor naczelny: dr. Tadeusz Gluziński Druk. Literacka S. z o. o. Warszawa, Al. Jerozolimska 121 Redaktor odpowiedzialny: Bogusław Kopczyński